

V-0100/4

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 99.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pól.

Warszawa, $\frac{5}{17}$ sierpnia 1861.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Kurek srebrny bractwa strzeleckiego w Krakowie (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Trzy listy niedrukowane Jana Śniadeckiego. — Józef Bogusław Stuska (z drzeworytem). — Słup graniczny pod wsią Boguszami (z drzeworytem). — Kościółek św. Salomei w Grodzisku (z drzeworytem). — Tomasz Padura. — Szachy. — Rebus. — Dawny klasztor kazimierzowski w Berezie (z drzeworytem). — Notatki z podróży po europejskiej Turcji (dokończenie). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego.

Kurek srebrny bractwa strzeleckiego w Krakowie.

Bractwo strzeleckie, zwane także towarzystwem kurkowym, konfraternią strzelców, szkołą rycerską i t.p., istniało już w Krakowie r. 1487, pod którym akta wspominają miejsce na przedmieściu zwane Czelstat. Czelstat, z niemieckiego Zielstatt albo Zielstätte, znaczy miejsce na którym celują. W sławnym rękopisie Bema z r. 1505 znajduje się miniatura, przedstawiająca strzelanie do ptaka. Najgorliwiej zaś bractwem strzeleckim zajął się Zygmunt August, który r. 1565 ofiarował niniejszego kurka, a nakazał zarazem „aby co sześć tygodni wyprowadzwszy większe i mniejsze działa w miejsca dogodne za Kaźmierzem, gdzie przedtém podobne strzelanie zwykle się odbywało, ćwiczenie to mieszczanom naszym krakowskim wyraźnie było poleconém.“ W rok potem upomina król znowu mieszczan: „dowiadujemy się, iż w. w. co się tyczy tych ćwiczeń w strzelaniu nietylko że dotąd nie postanowiliście, ale nadto starodawne ćwiczenie się młodzieży, które ją w dni świąteczne od swawoli odwodziło, zupełnie zostało zaniedbane.“

Najwięcej jednak przyczynił się do podniesienia bractwa kurkowego Władysław IV, uwalniając tego z obywateli miasta, „któryby w strzelnicy krakowskiej wieniec odniósł i kurka zbił, od wszelkich podatków, danin, ceł tak dawnych jak i nowych, naszych i Rzeczypospolitej, jakiego bądź nazwania, wchodowych i wychodowych.“ Przywilej to był niemały, mianowicie przez oszczędzenie cla od wina, które na sprzedaż król kurkowy mógł sprowadzać; ubiegali się też o tę godność obywatele krakowscy, a magistrat często bardzo za ich przywilejami sobie pamiętał.

Strzelanie do celu odbywało się zwykle w Krakowie w poniedziałek po oktawie Bożego Ciała. W dniu tym wszyscy strzelcy udawali się najprzód do kościoła Panny Maryi na solenną wotywę; następnie, wśród licznego pocztu uzbrojonych mieszczan, prowadzono kurka, niesionego przez dotychczasowego króla, do strzelnicy. Kurek ten zakrytym był prawie wotami srebrnymi, wszędzie poprzyczepianymi; zwyczaj był bowiem, iż każdy król kurkowy zostawiał po sobie pamiętkę.

W jakiej cenie była ta pamiętka u Krakowian, dowodzi i to, że w czasach wojen za

stosunkowo znaczne summy bywał zastawianym. I tak w r. 1659 za 3000 złp. (dzisiejszych 9000), w roku 1706 za 2700 tynfów (złp. 4520) i t. d. Czcigodny Ambroży Grabowski, z którego starożytnych wiadomości o Krakowie wyjęliśmy niektóre podane tu szczegóły, wymienia nam 38 obywateli krakowskich, którzy byli królami kurkowymi, a znajdujemy tam wiele dobrze znanych nazwisk, n. p. Stanisława Stachowicza, właściciela drukarni, ojca malarza Michała; Józefa Statlera, pradiada naszego utalentowanego rzeźbiarza. R. 1793 Stanisław Piątkowski był ostatnim królem kurkowym za dawnych rządów; za cza-

sów Rzeczypospolitej odnowiono ten zwyczaj, który się do dziś dnia utrzymuje. K. B.

Kronika tygodniowa.

Ile razy zasiadamy do pisania naszych sprawozdań, tylekroć przychodzi nam na myśl, czy też ta praca przyniesie jaki pożytek dla ogółu?

Jesteśmy wprawdzie przekonani, że znaczna część czytelników uznaje słusność naszych pożytecznych uwag, że w wielu razach podziela nasze zdanie i niejednej przykłaśnie myśli — wszelako....

Wszelako, mimo tych oznak współczucia, pomimo uznania potrzeby wypowiedzenia nagiej prawdy, bez ogródek, bez schlebienia, nie jesteśmy pewni czy słowa nasze zostawiają większy ślad na umyśle czytających, jak kregi wody powstałe od rzuconego w rzekę kamienia, czy inny owoc przyniosą, niż ten co wzrósł nad brzegami Martwego morza.

Myśl ta kilkakrotnie już nasuwała się nam, a podnieciło ją doświadczenie, jakiego nabraliśmy w drobnej z pozoru okoliczności.

Przed kilkoma tygodniami kronika opisała Kodymki, piece kaflowe używane powszechnie w Czechach, które z małością rozmiarów, a więc taniością budowy, łączą oszczędność paliwa; aby zaś zachęcić do ich zaprowadzenia u nas silniej poprzec, postaraliśmy się o modele i zawiadomiliśmy osoby interesowane w jednej z następnych kronik, że są do oglądania w redakcyi. I jakież skutek odniosło to ogłoszenie?

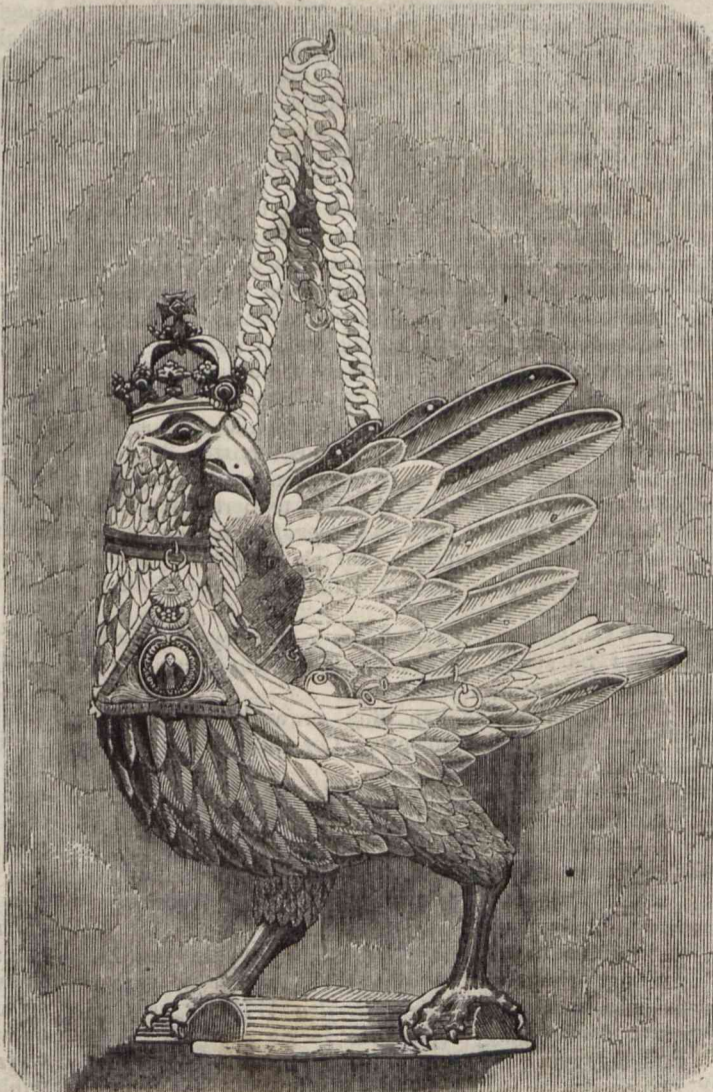
Oto w miesiące mającym 200,000 ludności, gdzie bez przesady naliczyć można kilkadziesiąt tysięcy pieców, nie znalazł się ani jeden amator, któryby choć przez prostą ciekawość chciał obejrzeć pożyteczny wynalazek naszych pobratymców.

Co większa; mówiono nam, lubo za prawdę tej wiadomości ręczyć nie chcemy, że zdunowicie przyrzekli sobie nawzajem, iż kodymek nietylko budować, ale nawet oglądać nie będą.

Rzecz prosta: piec liczący kilkadziesiąt kafli, nie przyniesie tych zysków, co terazniejszy, na który setek ich potrzeba.

Nie dziwimy się już tak bardzo tym, których to wprost dotyczy że przenoszą zysk własny, nad dogodność i pożytek ogółu.

Ależ panowie właściciele domów, czyżby nie powinni zbadać wynalazku, który w razie swej praktyczności i upowszechnienia, mógłby i im i lokatorom wiele pieniędzy oszczędzić?



KUREK SRÉBRNY BRACHTWA STRZELECKIEGO W KRAKOWIE.
(Rysował Lewicki, podług fotografii Beyera.)

Przemogły przesady i przywiązanie do zastarzałej, wygodnej niepraktyczności, bo u nas każdy krok na drodze postępu niezmiernie wiele kosztuje.

Tak więc zdaje się że każdy pożyteczny projekt, rzucony uwadze publicznej w tém lub owém piśmie, spotyka obojętność i lekceważenie. Na nic się nie zda pisanie i zachęta—szkoda czasu i atlasu.

Dziś pisma nasze na wysługi zajmują się kwestyą oświaty włościan, każde do niej zachęca, każde podaje, wedle swego sposobu zapatrywania się, najpraktyczniejsze sposoby do jej szerzenia. Wychodzą pisma specjalnie poświęcone dla klas niższych, jak Kmiotek i Czytelnia niedzielna, a jednak, jakże żółwim krokiem postępuje ta sprawa!

Są ludzie pełni poświęcenia, szanowni właściciele dóbr, zacni kapłani, którzy szczerze zajmują się oświatą maluczkich, zachętą ich do nauki i pracy; ale są i tacy, o których uszy próżno objają się wołania i najgorliwszym zachętom nie dają się wyrwać z gnusności.

We wsi np. Oporowie, staraniem znacznych ludzi zaprowadzono szkółkę niedzielno-święteczną dla wszystkich włościan i robotników, bez różnicy wieku, aby w niej uczyli się czytania i rachunków. Założyciele dołożyli wszelkich sił, iżby jaknajwiększą liczbę uczniów zgromadzić; ale przy ciemności ludności, potrzeba było zachęcającego słowa osoby mającej największy wpływ na umysły parafian, a tego, niestety, zabrakło.

Duchowni miejscowi mogliby tę obojętność naprawić, bo ojcowie dusz najpierwsze mają prawo do opiekowania się tym biednym, ciemnym ludem, który tonie w gnusności i złych nałogach, jedynie z braku oświaty.

Ileż to atramentu przelano w obronie lasów, ileż to razy nie zachęcano do ich porządnego zagospodarowania, i to nie tylko w pismach codziennych, pobieżnie, ale szczegółowo w dziennikach rolniczych, w Rocznikach gospodarstwa krajowego. Tymczasem lasy tysiącami włók nikną w naszych oczach, bo któżby się troskał o przyszłość, kiedy na dziś wystarcza?

Częstokroć także czytamy w pismach naszych ubolewające artykuły o złym stanie wyrobu piwa krajowego, narzekania na upowszechnienie bawara, który ze szkodą dla zdrowia zajął miejsce piw wybornych, jakimi niegdyś słynęła Warszawa.

I na cóż się to przydało? Bawarye mnożą się bez końca, rozpajają ludność, przysparzają piwnych idyotów, a piwa lekkiego, orzeźwiającego, zdrowego, jak nie było tak niema.

Są nawet niektóre ogródki, co zapomniawszy wszelkich praw przyzwolności, w najniegodziwszy sposób do pijaństwa zachęcają.

Aby przekonać czytelników o prawdzie słów naszych, prosimy aby przechodząc ulicami szukali ogródka, w którym drzwi wiecznie otwarte, a miejsce ich zastępuje transparent, przyozdobiony obrazami dwoma, akiegoś *Van-Dyka* częstochowskiej szkoły.

Jeden z tych obrazów przedstawia skarykaturowane postacie naszego starego Piasta i jego małżonki. Oboje zasiedli około stołu, w towarzystwie dwóch posłańców niebieskich. Przed nimi zastawiono głowę wieprzową na półmisku, w kuflach pieni się bawar, u stóp biesiadników beczka z gambrynusowym napojem, u góry pyzate słońce i wychudły księżyc, w półśrodku zaś tych dwóch ciał niebieskich napis:

Księżyc pociąga słoneczne,
Morza piją wody rzeczne,
Słońce morskie soki,
Z rzek piją obłoki.

Drugi obraz znać przedstawia anachroniczną wieżę Babel. Dokola popiersia uwięzionej Cerery, jakiś Ateńczyk w kamaszach nowożytnych, z Turkiem czerwono przybranym wnoszą kufle do góry; obok Niemiec w niebieskim fraku, zielonej kamizelce i żółtych pantalonach; tuż Krakowiak z potężnym dzbanem, a za nim dandys z angielskimi bokobrodami wznosi szklanice do góry.

Nad tym wesołym burszensaftem czytamy:

Roślina ziemią się poi,
Ziemia pije z nieba,
Wszystko pije bracia moi!
Więc i nam pić trzeba (?!)

Jestto zdaje się jakiś archeologiczny zabytek z czasów Lota.

Kilka lat poprzednich, bądźto z przyczyny spiekoty, lub zbyt wielu deszczów, skąpy wydały plon zboża; ten rok jednak przewyższył nasze nadzieje. Wszędzie żniwa szczęśliwie pokończono, a chociaż zbiorom ow-

sa zagroziły w przeszłym tygodniu gwałtowne wichry i burze, to przecież znów wypogodziło się rychło, i teraz z pewnością już orzec można, że nawet owsy i ziemniaki nie chybą, a ludności pokarmu nie zabraknie.

Z okoliczności zbiorów, nasuwają się nam na myśl trudy z jakimi właściciele większych gospodarstw walczyć muszą, aby owocem swjej pracy z nami podzielić się mogli.

Z powodu tego Gazeta Warszawska przed kilkoma dniami zamieściła artykuł o kłopotach jakich doznają rolnicy, z przyczyny braku rąk do robót polnych, a zarazem wystąpiła przeciwko tym, którzy ściągają kolonistów do naszego kraju.

Uznajemy w zupełności słusność uwag w pomienionym artykule zawartych, i to samo co Gazeta Warszawska odnosi do robotników wiejskich, my stosujemy do miejskich; przy kilku bowiem fabrykach tutejszych pracują wyłącznie prawie murarze (*) i cieśle niemieckiego pochodzenia.

Panowie przedsiębiorcy i majstrowie budowlani mogliby raz o tém pamiętać, że groźba tutejszy powinien przedewszystkiem iść w ręce tutejszych robotników, uskarżających się na brak pracy, a jeżeli budowniczowie, majstrowie i podmajstrzy są po największej części Polakami, toć i prostego murarza lub cieśla niema potrzeby szukać za granicą.

W tym roku narzekano z wiosną na stagnacyą w budowaniu domów; mimo to jednak kończy się wiele budynków w zeszłym roku rozpoczętych.

Z obowiązku kronikarza zwidzaliśmy wiele nowych domów, i z małym wyjątkiem nabraliśmy przekonania, że architektura społeczna zupełnie rozmija się z potrzebami ogółu i nie wchodząc w potrzeby lokatorów, stara się tylko przypodobać właścicielom, przez jaknajskromniejsze spożytkowanie przestrzeni.

Mniejsze mieszkania, to prawdziwe klatki na kanarków; sypialnie bez żadnych względów sanitarnych szczupłe i niskie; salonem zwią tu pokoiczek o dwóch niezbędnych oknach, bez miejsca na najskromniejsze meble; kuchnie ciemne, wschody ciasne; za to ogromnych pieców niebrak: w czterech pokoikach nalicyliśmy ich trzy, a czwarty w kuchni.

Wszystko to, uczczone szumną nazwą *apartamentu*, ceni się bardzo wysoko najmującemu, dodaje się do tego bezpłatny widok na ogród lub podwórko i... ów apartament najczęściej stoi pustkami.

Śmiało powiemy, że na kilkanaście nowych domów, zaledwie jeden na ulicy Złotej na bezwzględna pochwałę zasługuje; innych lokatorów nie zazdrościmy wcale.

O lokalach 6—12 pokojowych żadnych nie dajemy uwag, bo te przechodzą potrzebę ogółu.

Zagraniczni wędrowcy zwolna zaczynają ściągać z swoich wycieczek ku Warszawie. Kissingen, Maryenbad, Kreuznach, wyludniają się stopniowo, a nawet w Szczawnicy, w której tego roku zabrakło mieszkań, powoli się przeradzają.

Wracający rodacy z kąpiel, jeżeli im jeszcze starczy funduszów, zatrzymują się w miastach niemieckich. Drezno i Wrocław pierwsze tu miejsce zajmują, mianowicie zaś nasi panowie i panie lubią to ostatnie miasto, bo przebiegliwość spekulacji nie szczędzą wszelkich zachęt, aby znieść *panów Polaków* do pozostawienia paruset talarów w tamiecznych sklepach.

Rozmaite, a często dziwną i niezrozumiałą polszczyzną drukowane po gazetach ogłoszenia, siłą się aby tylko *nie stawić szranków* hojności naszej.

Złota gęś zwykle rej wodzi. Jestto ulubiony hotel naszych podróżomanów, bo tam najbardziej schlebnią ich próżności i największe *grafom* podają rachunki. W ostatnich przecie czasach znalazł się śmiałek, który chciał podciąć skrzydełka temu pięknemu ptakowi.

Wracałem przed tygodniem z Granicy do Warszawy i na stacyi Zabkowie spotkałem pana Rafała, nadjeżdżającego z Katowic.

— A zkadże to Pan Bóg prowadzi? zagadnąłem.

— Witam pana mojego... Cóż tam słychać w Warszawie?

— Nic nie wiem, panie dobrodzieju, bo już od 40 dni nie byłem w stolicy.

— Ja, mości dobrodzieju, już od czterech miesięcy za granicą bawię. Byłem w Paryżu, a potem w Spaa; alez nigdzie mię tak nie obdarli jak w Wrocławiu.

— A to jakim sposobem?

— Oto mój dobrodzieju, staję zwykle pod Złotą gesią; tymczasem w tym roku czytam w gazetach ogłoszenie jakiegoś pana *Moritza Wiener* na *Graupen-strasse*, który zapowiada że się zupełnie poświęcił usługom j. w. panów Polaków, że u niego mówią po polsku, a jedynie niemiecka posługa.

(*) Piszemy z umysłu *murarze*, nie *mularze*, boć oni podobno *murują*, nie *mulują*.

— I cóż?

— A i cóż, dobrodzieju. Porzucam Gęs i zajeżdżam do Wienera. Wystaw sobie, dziura brudna i niewygodna, a przytém rachuje... aj! aj! aj! niech się Gęś schowa. Nie mogę przyjść do siebie z oburzenia.

— Jestto, rzekłem, nauka, ażebyś pan łaskawy na drugi raz nie przeniewierzał się Gęsi.

— Ho, ho, dobrodzieju. Drugi raz starego wróbla na plewy nie złapią. Jadąc na rok przyszedł do Spaa, i sam ominę, i dziesiątemu odradzę *Graupen-strasse*.

Spaa przypomina mi zabawne zdarzenie, jakiego przed kilkoma tygodniami byłem świadkiem.

Przed jedną z aptek tutejszych zajechała dorożka, wyskoczyło z niej dwóch panów i wbiegli do apteki.

— Proszę pana o dwie butelki wody mineralnej, zawołał jeden.

— A jaką pan chcesz mieć?

— Hm... zaraz... zaraz...

— Może krynicką, szczawnicką, żegiestowską?

— Nie... nie... to jakaś zagraniczna.

— Może maryenbadzka... Vichy?

— I to nie, ale proszę zaczekać, zaraz się zapytam...

I wybiegł przed aptekę, a zapytawszy damy siedzącej w dorożce, wrócił i rzekł:

— Proszę panów o tę wodę z papugą.

— Jak? jak? zapytał tłumiąc śmiech prowizor.

— No, tę z papugą.

— Ach, to zapewne Spaa-Pouhon, rzekł prowizor.

— Czy z papugą, czy z papugą, oto nie chodzi; powiem tylko panom, że powinniście raz dać pokój tej cudzoziemczyźnie. Jeżeli jedne nazywacie po polsku, to dla czegoż i na tę nie wymyślicie polskiej nazwy? Już teraz moda francuzczyzny minęła.

Wydawnictwo książek ogranicza się prawie dzisiaj na krzątaniu się około kalendarzy. Oprócz zwykłych, wyjdzie, podobnie jak w roku zeszłym, *Kalendarz dla Polek* Dzwonkowskiego. Franciszek Staszic zamysła wydać Kalendarz dla ludu wiejskiego, redaktor zaś Gazety Rolniczej wydaje Kalendarz gospodarski, ozdobiony drzeworytami narzędzi rolniczych.

Trzy listy niedrukowane Jana Śniadeckiego.

Jako dopelnienie życiorysu Jana Śniadeckiego zamieszczonego w numerach 93 i 95 naszego pisma, podajemy tu trzy listy uczonego matematyka, pisane sekretarza kommissyi edukacyjnej i do prezesa jej, księcia prymasa Poniatowskiego. Listy te, wyjaśniające poglądy Śniadeckiego na sprawy akademii krakowskiej, pochodzą ze zbioru jednego z naszych miłośników rzeczy krajowych, który autografów takich posiada kilkadziesiąt.

LIST I.

Dnia 26 marca 1786 w Krakowie.

Wielmożny mości dobrodzieju!

Odebrałem przysłane dla szkoły głównej inventarze dóbr probostwa miechowskiego, iść mających na licytacją 9 maja, i instrukcją dla geometrów też do bra rozmiarzać mających. Złożona w ten tydzień będzie sessya szkoły głównej do zaradzenia i wykonania przepisów p. kommissyi do tego wymiaru stosownych. Możem się źle wytłumaczył w liście moim, przytaczając przeszkody które zawadzać mogą szkole głównej w wykonaniu przepisane na św. Jan dzieła, a które mi z jednej strony przełożyła kassa, z drugiej strony względ na czas, kiedy zdadne do tej roboty osoby są albo uczeniem, albo uczeniem się zatrudnione; nie chciałem atoli przez to wyrazić, jakoby szkoła główna, czująca ważność i potrzebę tych robót, chciała się od nich uwolnić, ale raczej dlatego, jeżeliby te nie mogły być do czasu wakacyj odłożone, a wydatki do tego potrzebne podzielone między przyszłych profesorów i szkołę główną, jako się w tém odwołuję do listu imć ks. rektorowi pisanego, w mniemaniu że się już w Warszawie znajduje. Używając szkoła główna pozwolonego jej prawa w przekładaniu swych uwag i zwierając się p. kommissyi w respekcie natrafionych trudności, nie zapomnia nigdy obowiązków podległości, robiąc i wykonywając to, cokolwiek przy tylu rodzajach prac może zrobić i wykonać. Jeżeli przy wszystkich tych usiłowaniach zawadzają się jakie niedoskonałości, tych zapewne źródło nie pochodzi ze szkoły głównej, ani jest w jej mocy zaradzić skutecznie złemu. Gdyby miała wiernych świadków swych usiłowań i prac, przekonałaby zwierczość najwyższą, że jeżeli które osoby znajdują sobie co do wyrzucenia, nigdy atoli corpus całe nie może być obwiniane. A jeżeli są jeszcze jakie obowiązki do przydania całemu zgromadzeniu, już tylu pracami obciążonemu, któreby interesowały zamiar i honor powołania naszego, byleby je szkoła główna wiedziała, i

byleby siły jej znieść je jeszcze mogły, zapewneby się nie usunęła od nich, idąc raczej za chęcią dystyngowania się w usłudze publicznej, jak za powodem zysku. Odwołać się może szkoła główna do sprawiedliwości samej komisji, jak wiele dała i daje dowodów tej bezinteresownej usługi. Professorowie wezwani byli z początku za zaręczoną im pensją do samego uczenia; potrojono im prawie prace przez przydawanie coroczne nowych powinności, nie wchodzących całe w początkową z niemi umowę, a przecież nie wyłamali się z nich, owszem przyjęli je i nawet sami sobie niektóre przydali, nie przyczyniwszy sobie żadnych za te przybyłe zarobków. Znam towarzystwa uczone zagraniczne, daleko lepiej opatrzone jak akademie krakowska, ale nie znam i nikt mi nie przytoczy żadnego na ziemi, któreby tak rozległe miało powinności. Jeżeli massa ogólna dochodu wydaje się ogromna, zapewne ona niewiele znaczy w proporcji kosztów publicznych innych krajów dźwigających nauki, a dźwigających je częstokroć nieszczęśliwie przy tylu kosztach, co pokazuje, że pieniądze same nie tworzą rozumu, który prócz nakładów potrzebuje jeszcze szlachetniejszych i delikatniejszych pobudek i żywiołów. Jeżeli więc nauki zdają się wiele kosztować, trzeba by zwrócić dowcipowi ludzkiemu, że posunawszy tak daleko granice swych wynalazków dla pożytku i rokoszy towarzystwa, pomnożył razem kosztowne potrzeby do nabywania i szerzenia swych owoców. Można to nazwać nieszczęściem dla akademii krakowskiej, że w massie powszechności ją sądząc mało jest osób, któreby z doświadczenia czuły, co to dziś kosztuje być gruntownie uczone i zdającym do uczenia innych. Jeżeli prace umysłu, niszczące siły i zdrowie człowieka, przykute prawie do osobności i tamującego bieg maszyny ciała, są daleko twardsze i cięższe jak prace ciała, niemasz powołania pracowitszego jak powołanie nauczycielskie, ktokolwiek je chce z należytą pełnią usilnością. Człowiek więc, który nie chciał się puścić za losem z bogactwami tyłu ludzi bez pracy, ale zaprzął się w jarzmo robót ustawicznych z ofiarą swych sił, zdrowia i jakiegokolwiek majątku, odosobnił się, że tak rzekę, na całe życie od reszty ludzi i ich rozrywek, aby się usposobił do tego powołania, i służąc powszechności, szukał w pocie czoła swego jakichkolwiek zarobków, — człowiek taki maż sobie jeszcze co do zazdrożenia i wymówienia? Jesteż jeszcze jego grzechem, że nie może darmo służyć narodowi, kiedy tej wspólności nie widzi w możniejszych i obsypanych darami losu?

Kiedy czytam przytoczone w liście wmpana dobrodzieja wyrazy j. o. ks. imci prymasa o *wysoko płatnych powinnościach*, a niewiele pożytków krajowi przynoszących, rozciągnięte do całej akademii, a zatem nie wyjmujące żadnego, zaczynam się przekonywać w gorzkim bólu serca, że choćbyśmy robili największą, nie będziemy widzieć wolni od tych wymówek tylokrotnie powtarzanych, a największą dręczących ludzi umiających czuć. Trzeba się strawić do reszty w boleści człowiekowi, widzącemu że nie jest dosyć zasłonić się od wyrzutów raniących najdzielniej serce, przez wierne pełnienie przyjętych obowiązków. Jest to tylko jęk mój partykularny, którego wstrzymać nie można, widząc wszystkich zmieszanych na jednej szali; bo niepodobna nie stęknąć i opuścić rąk człowiekowi, który straciwszy swój wiek w piętnastoletnich przy akademii pracach, usiłując, ile człowiek może, aby szeląg jego dochodu nie był bez pracy i zarobienia nabyty, obracając go połowę na nabywanie rzeczy czyniących mnie do mego powołania zdniejszym, szanując honor jako najmilszą i jedyną własność, którą chcę z sobą do grobu zanieść, oglądając się w każdym momencie, żebym się w nim samego nie skrzywdził, kochając raz obrany stan, dla którego chciałbym rozmnożyć swe siły, — wypada mi po czasie załować i prawie narzekać na momenta, które mnie do niego wezwały, kiedy po tylu pracach nie można sobie nawet na to zasłużyć mniemanie, że nie strwońił darmo mój usilności i że sprawiedliwie zarabiam kawałek chleba, wygrzebany w krwawej robocie i nakładzie sił własnych. Kto przeszedł od dzieciństwa przez tyle usilności, niech sobie pomyśli sytuację człowieka, ledwo niepotępionego przez miłość spokojności do poszukiwania sobie gdzieindziej zarobku życia!

Zostają z winnym uszanowaniem

wmpana dobrodzieja

najniższym sługą
Sniadecki.

LIST II.

22 grudnia 1786 w Krakowie.

Jaśnie oświecony mości księżę dobrodzieju!

Ułożywszy sobie w czasie przyszłych wakacyj wyjechać do Anglii, dla dokładniejszego poznania stanu

nauk w tym narodzie, dla zabrania znajomości z towarzystwami uczonemi i z ludźmi wsławionemi przez pożyteczne w naukach prace, dla zamówienia sobie korespondencyj w tym kraju i dla nabycia znakomitszych dzieł angielskich, a zważywszy że do dopięcia tych wszystkich zamiarów czas trzechmiesięczny wakacyj wystarczy mi nie mógł, przychodzi mi upraszać j. o. w. ks. mości dobrodzieja, abym przy protekcyi jego pozyskał pozwolenie p. komisji wyjechania na ten wojaż zaraz po wyprawieniu przyszłych generalnych wizytatorów na szkoły, to jest na końcu kwietnia lub na samym początku maja, kiedy się ważniejsze i pracowitsze mój funkcji obowiązki odbędą, żebym mógł na początek przyszłego roku szkolnego powrócić do Krakowa. Do mnie należeć będzie tak wszystko ułożyć i opatrzyć, żeby na mojej nieprzytomności ani uczniowie, ani szkoła główna nie cierpiała. Lekcje astronomii starać się będę przed wyjazdem zakończyć; w matematyce będę przez wiceprofessora zastąpiony, któremu gotowe lekcje i aplikacyą zostawię. W powinnościach sekretarskich wyrażę mnie jeden z professorów szkoły głównej, o demnie uproszony, któremu wszystkie do tego łatwości i porządek rzeczy będę się starał przygotować. Pewien jestem, że takowe przedsięwzięcie nie może być obojętne sercu j. o. w. ks. mości dobrodzieja, wylanemu na dobro kraju i nauk, a zatem nie mogę o jego skutku lepij zaradzić, jak poddając je wielkiemu opiekunowi nauk i tych którzy im się szczerze poświęcają. Starałem się, j. o. mci ks. dobrodzieju, szesnastoletnią w naukach usilność tak łożyć i obrócić, jak tylko człowiek w miarę swych sił i sposobności zdoła; wszystkie zarobki, któremu sobie własną pracą wygrzebał, poświęcałem chęci i sposobom korzystania coraz więcej z umiejtności; pożytki któremu żąd odniósł, usilowałem aby się we mnie samym nie zamkły, ale się rozeszły między uczniów jednych już krajowi służących, a drugich sposobujących się do tej usługi. Chciałbym jeszcze więcej z siebie zrobić i profitować z żywości wieku, nim umysł osłabiony pracą o cięższe i wdychać zacnie do spoczynku; zaczynam już czuć po moich siłach, że mi tego przedsięwzięcia niepodobna dalej zwłóczyć. Nie mogąc przez charakter przykładać się do obiektu tylko z passją, ułożyłem sobie w pierwszym jeszcze mym wojażu przepędzić rok cały w Anglii, dla poznania w tym kraju nauk tak, jakem je starał się poznać w krajach już zwiedzonych przezemnie; zawołany do j. o. w. ks. mci dobrodzieja w r. 1784 z Paryża na zacęcie kursu matematyki w Krakowie, a wiedząc że kandydaci w seminarium św. Piotra zebrani czas próżno trawiają, poddałem się rozkazom j. o. w. ks. mci dobrodzieja i chęć moją do dalszego oświecenia się z uczynionem do tego przygotowaniem sakryfikowałem potrzebie publicznej. Miałem przyrzeczenie j. o. w. ks. mci dobrodzieja, że ten wojaż będę mógł zrobić, skoro się gwałtowniejszemu porządkowi i potrzebom w szkole głównej zaradzi. Widziałem że mi aż do tego czasu niepodobna było prosić o skutek tego przyrzeczenia. Bardzo na to cierpię, że sam przez się, ani żaden z moich kolegów, nie poznał kraju, któremu nauki największą winny, i bardzoby mi żal było umierać, gdybym tej żądzy w sobie nie zaspokoili. Obejrzawszy się nawet na potrzeby szkoły głównej, czuję jak to jest niewygodnie, że nie wiemy co się w naukach dzieje w Anglii, czyba że nam o tym z Paryża doniosą; że chcąc co z tego kraju sprowadzić, musimy to robić przez korespondencyą z akademikami paryżkiemi, co nam interesa znacznie zwłóczy i o koszt większy przyprowadza. Nie mam, j. o. mci ks. dobrodzieju, w tym wojażu żadnego widoku na me osobiste korzyści, chyba żebym się przezeń stał szkole głównej i krajowi użyteczniejszym; wszakże choć się trochę więcej nauczę, nie sądzę żeby mi się działo miało lepij: tém więc pewnie spodziewam się tego pozwolenia, o które mam honor j. o. w. ks. mości dobrodzieja i p. komisją jaknajprędzej upraszać, abym przez te cztery miesiące, które mi jeszcze w Krakowie przepędzić przypada, roboty moje mógł zaraz gotować i odbywać, żebym resztę od robót zostającego czasu językowi angielskiemu poświęcił i zaradził wcześniej potrzebom, które za sobą ten wojaż pociągają.

Oddając ten interes i mnie samego protekcyi j. o. w. ks. mci dobrodzieja, mam honor zostawać z najpożytniejszym uszanowaniem i t. d.

LIST III.

Dnia 7 stycznia 1787 w Krakowie.

Wielmożny mości dobrodzieju.

Pierwszy raz w tym roku mając honor zgłosić się do wmpana dobrodzieja, miło mi jest korzystać z pory do wyrażenia mu szczerých i z serca wydobytych

życzeń wszelkich pomyślności przy zdrowiu czerstwem na nowo zaczęty rok. A jakoś wmpan dobrodziej był zawsze na mnie łaskaw, tak sobie po jego sercu śmiem obiecywać, że mi w mym osobistym interesie swym nie odmówisz pomocy. Dawno już ułożony, a nawet rezolucyą p. komisji w r. 1781 wytknięty projekt zrobienia wojażu do Anglii, postanowiłem sobie w tym roku do skutku przywieść, sakryfikując na to kawałek pracą własną nabytego majątku, abym się lepij mógł do usług kraju i szkoły głównej usposobić. Ten wojaż ma tylko trwać kilka miesięcy, bo choćbym go chciał dalej przeciągnąć, w kraju tak niezmiernie drogim jak jest Anglia, nigdybym nie wystarczyl obejść się moim dochodem, jakom się już o tém z pewnych informacyj przekonał. Oświadczyłem to moje żądanie j. o. ks. imci prymasowi, upraszając go, aby mi raczył wyrobić swą protekcyą pozwolenie komisji wyrażne wyjechania z Krakowa na ten wojaż w kwietniu, jak prędko wizytatorowie generalni będą ze wszystkiemi ekspedycyami do szkoły głównej, to jest gdy się pracowitsze mego urzędu obowiązki zakończą, abym na początku przyszłego szkolnego roku mógł do Krakowa powrócić. Lekcja moja, ze wszystkiemi przygotowana, będzie zastąpiona przez wiceprofessora, a obowiązki sekretarza przez jednego z professorów collegii physici, do tego odemnie za wiadomością szkoły głównej uproszonego, któremu cały ciąg interesów i projektów przygotowuję, żeby na mojej nieprzytomności nie porządek rzeczy nie szkodził. J. o. ks. imci prymas raczył to moje żądanie i projekt approbować i przyrzec wyrobienie takowej rezolucyi. Upraszam łaski wmpana dobrodzieja, abys przypominając j. o. ks. imci skutek tego łaskawego przyrzeczenia, na najpierwszej sessyi komisji o wydanie dla mnie takowej rezolucyi przymówił się i raczył mi ją nieodwłocznie przysłać, bo muszę na gwalt całe systema robót gotować, i na mój wyjazd się gotując, cały pozostały od innych prac czas poświęcić językowi angielskiemu, bez którego próżnoby było przedsiębrać tę drogę, a na co już mi nie najwięcej czasu zostaje. Zwłoka więc w tém byłaby mi i przykra, i bardzo niepożyteczna. Chciję wmpan dobrodziej przez swoją łaskę umieścić w tej rezolucyi punkt, aby prokuratora wyplaciła mi na początku kwietnia ratę mój pensyi anticipative; nie spodziewając się żadnego na ten wojaż wsparcia, byłoby dobrze żeby można zyskać choć ćwiartkę pensyi przyszłorocznej, bo to w Londynie na moje projekta ledwo będzie można za 100 dukatów na miesiąc obstać, a cóż dopiero droga kosztować musi, w której muszę pocztę ekstrordinaryną brać, żeby się w podróży długo nie bawić na tak krótki przeciąg czasu, w którym się mój wojaż odbyć. Nie spodziewam się w tych propozycyach bardzo dyskretnych żadnej trudności, ile że pracując zawsze poczciwie aż do nadwężenia sił moich, i jeszcze dotąd o nie dla siebie nie proszę, nie mogę sobie nie obiecywać względów komisji w interesie, z którego dla mnie stratę pieniędzy, a dla szkoły głównej i powszechności lepszą usługę sobie zamierzyłem, bo moje korzyści zawsze temu celowi poświęcałem i poświęcam. Oddaję ten interes łaskawej wmpana dobrodzieja pamięci, zostając z winnym poważaniem i szacunkiem i t. d.

P. S. Będę później upraszał wmpana dobrodzieja, abys się raczył przymówić o listy dla mnie od dworu, do ministra polskiego w Londynie.

Józef Bogusław Słuska,

kasztelan wileński, hetman polny litewski.

Słuszkowie rycerskie rzemiosło oddawna lubili; dlatego na pograniczach pilnowali granic Litwy, bo starostwa lubeckie, łojowskie, krzyzewskie, lucińskie, rzezyckie, mozyrskie, homelskie przez kilka pokoleń ciągle posiadali. Starostwo za jagiellońskich rządów na Litwie, nie było podówczas, jak bywały po większej części koronne, nagrodą za rycerską pracę, chlebem wysłużonych, ale było to rycerskie stanowisko, na którym król potrzebował dzielnej ręki, ostrożności, poświęcenia się, czujnego oka od nieprzyjaciela. Nieraz wróg skryty wkroczył pocichu i płynął lasami, aż się w głębi kraju nagle wynurzył i siał w okolo zniszczenie. Ważnym takim stanowiskiem od stepów zadnieprzańskich był długo Kijów, stojący niby strażą samotnie, porzuconą gdzieś na pograniczu od tatarskiego pogaństwa. Na Kijowie także za Zygmunta Staroego czuwał jeden ze Słuszków, starosta lubecki i łojowski, jako gubernator; po najściu tatarskim, Słuska ów zamek kijowski „znacznie reparaował“.

Do senatu weszli Słuszkowie za Zygmunta III z Krzyżstofem, który w rycerskich sprawach przepędził lat dwanaście na dworze cesarza Rudolfa i wróciwszy do ojczyzny, został wojewodą wendeńskim. Niesiecki mó-

wi o nim, że „wyprzysiągł się ojcowskiej herezy“ jaka to zaś była herezy, mówi o tém Niesiecki, kiedy rozpowiada historią Aleksandra, rodzzonego brata Krzysztofa. Ten Aleksander, który za Krzysztofem wszedł do senatu i zaczął od kasztelanii mińskiej, a skończył aż na województwie trockiém, „odrzucając błędy kalwińskie, wszystkie się wylał na przymnożenie czci Boskiej.“ Ten sam popęd i chwilowy zapal ogarniał często polską i litewsko-ruską szlachtę za ostatnich Jagiellów; jedna i druga opuszczała wyznanie przodków; ale gdy po jakimś czasie nastąpiło przesilenie, wracała do swego kościoła. Słuszkowie tą samą drogą przeszli do katolicyzmu.

Aleksander, wojewoda trocki, był już tak gorliwym katolikiem, że namawiał do wiary żonę swoją, córkę zaciętego dyssydenta, Zenowiczównę, wojewodziankę brzeską. Wziął ją wdową po Stanisławie Kiszce. Ta pani Słuszkowa umarła nawet dobrowolnie, przez dziwną zaiste ścisłość zachowywania przykazań Bożych, bo nie chciała w ostatniej chorobie takich przyjmując lekarstw, jakie jej dawali doktorowie; zapewne tu chodziło o przełamanie postu.

Rodzina ta Aleksandra i Zofii Zenowiczówny jest już wysoce historyczną. Dostyc ją wyliczyć, żeby o tém przekonać każdego. Wojewodzianka trocka, panna Elżbieta, była to owa sławna pani Adamowa Kazanowska, marszałkowa nadw. kor., a potem z drugiego małżeństwa pani Hieronimowa Radziejowska, podkanclerzyna koronna, niewiasta dumna i piękna, dla której król Jan Kazimierz miał szczególne względy. Synów wojewody, a braci tej Elżbiety było czterech, ale dwóch tylko dłużej żyło, to jest Zygmunt, chorąży litewski, dzielny regimentarz przeciwko Węgom, Kozakom i Szwedom, oraz Bogusław, ten sam, co za siostrę walczył z Radziejowskim. Na dworze Władysława IV, był to młodzian pełen rycerskiej, średniowiecznej grzeczności, i należał do tej arystokratycznej, pańskiej młodzieży, co to nadawała ton wszystkiemu.

Był już podskarbiem nadwornym litewskim wtenczas, kiedy marszałkowa de Guebriant zjechała do Polski, odwoząc Maryą Ludwikę królowi Władysławowi. Cała rodzina Kazanowskich i Słuszków przesadzała się w zbytkach i wystawności. Marszałek nadworny posiadał pałac, prawdziwe w Warszawie dziwowisko. „Pan nieporównanego rozumu i osobliwszej wspaniałości,“ dawał na cześć pani Guebriantowej pyszne kolacje i bale; tańcowała na nich nawet jego żona, ale tylko z kawalerami i niewiastami, z którymi ją krew łączyła; taka to była duma tej szczególnej kobiety. Nie mogła się rozmówić po francuzku z marszałkową, i dlatego albo przez tłumacza wyrażała jej swoje uczucia, albo sam marszałek, człowiek nadzwyczaj wymowny i ugrzecznioty, za siebie mówił i za żonę. W pannie de Guebriant, synowicy marszałkowej, zakochał się podskarbi Słuszkowski i szalała za nią w ogóle młodzież polska. Łowczy w. k. urzędzałowy, do-wiedziawszy się, że panna lubiła taką rycerską zabawę. Bywały na tych łowach świetne zgromadzenia niewiast, a czasem nawet i król z królową. Raz kiedy marszałkowa wracała z polowania, Janusz Radziwiłł i Słuszkowski wyjechali naprzeciw niej konno, bogato przybrani w aksamity i w złoto, i bawili pannę konną gonitwą. Kładli czapkę na długiej żerdzi i końcem kopii ją porywali. Słuszkowski biegając ciskał w powietrze toporek wojenny i łapał go za rękojeść o dziesięć kroków, tak był pewien swojej zręczności. Pani marszałkowej Kazanowskiej pochlebiali te stosunki z dworem i z damami francuzkami. Usilnie pragnęła związku brata swego z panną de Guebriant, mówiła o tém z jej matką i w łzach rozstawała się z drogiemi gośćmi. Podskarbi z gro-

nem wytwornej młodzieży pojechał jeszcze na drugie pożegnanie do Falent, potem do Radziejowic. W pałacu przyszłego szwagra swojego, Słuszkowski rozpaczał, widząc odjazd panny de Guebriant, o której rękę prosił przez króla. Marszałkowa oświadczyła królowi i marszałkostwu Kazanowskiemu, że nie może nic stanowczego na to odpowiedzieć, nie porozumiawszy się poprzednio z królową francuzką: synowica jej była damą dworską, a etykieta wymaga, ażeby takie damy za męża nie szły, bez zezwolenia królowej. Cieszyła podskarbiego na odjeździe nadzieją. Słuszkowski wybrał się do Francji z towarzystwem wspaniałem, „jakie przystawało panu jego urodzenia i znacności, co za najbogatszego w Polsce uchodził,“ ale niewczesna śmierć panny zniszczyła jego nadzieje. (J. U. Niemcewicz,

ale kiedy sejm w roku 1652 sądził sprawę Radziejowskiego, o mało sam nie padł ofiarą, chociaż z innej zupełnie okoliczności. Abramowicz, szlachcic litewski, otrzymał dekreta na Słuszkę i zalił się przed posłami, że nie może dojść z nim do ładu i sprawiedliwości. Jawne to było wszystkim, iż potężniejszy nie dbał o przewody prawne, ani dał się egzekwować. Przyszedł Słuszkowski do izby poselskiej, chcąc się tłumaczyć, ale go okrzyknęli posłowie i z powodu tego rozruchu marszałek musiał odroczyć sessyę. Jednakże izba wyprawiła delegatów do króla: Dembińskiego, podczaszego sandomierskiego, i Giżyckiego, podśędka wielunińskiego, ze skargą, że są tacy przekonani prawem, co się nie lękają ani króla, ani prawa, i przy boku pańskim podczas sejmów nadymają się i mają protekcję, z krzywdą ubogiej szlachty. Dembiński zważnie stawał, żeby za przykładem Radziejowskiego i Słuszkowski był ukarany, inaczej, mówił, będzie jawny dla niego fawor i oczywisty dowód, że Radziejowski nie zginął z winy swojej, ale dla zawziętości nieprzyjaciół (Wójcicki, Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d. T. II, str. 207).

Ten pan podskarbi Bogusław Słuszkowski, miał swoich dwóch synów i córkę, oraz dwie pasierbice, jak mówiliśmy, z pierwszego małżeństwa żony. Nazywają go niektórzy pisarze wojewodą witebskim, ale się podobno mylą. To pewna, że umarł pomiędzy r. 1654 a 1660.

Synowie jego, Józef Bogusław i Dominik Michał, rodzili się w ostatnich latach panowania Władysława IV, lub w pierwszych Jana Kazimierza, po r. 1647, kiedy umarł Kazanowski, wojewoda braclawski. Matkę ich nazywa biskup i kanclerz Załuski, autor wielkiego dzieła „Epistolae historico familiares“ „ową sławną, famosa illa“, i rozpowiada, jak ją w pewnej mowie swojej weselnej nazwał sprawiedliwie Cybelą, to jest matką bogów, bo co tylko wielkiego kiedy było krwią w całej Polsce i Litwie, z tém powiązała się powinowactwem i przyjaźnią. (Epistolae III, str. 137.) Ale był to ów wiek nieszczęśliwy, w którym Cybele takie, nieraz arecypobożne i arecylitościwe, w sercach dzieci swoich rozwijały tylko pogańską miłość ku krwi, ale nie uczyły ich ani wyrozumiałości chrześcijańskiej, ani prawdziwej miłości ojczyzny. Zamęt dziwaczny wyobrażeń charakteryzował tę epokę. Obok najwyższej hojności na kościół, spozstrzegłeś nieraz w synach takiej Cybeli obrzydliwe skąpstwo dla ojczyzny; obok najwyższej pokory przed trybunałem pokuty, najwyższą pychę na świecie; obok słów braterstwa, czyny które przerażały okropnością i dzikością. W takiej szkole wzrastali i młodzi Słuszkowie. Nie była tu winną ani matka, której wyobrażeń bliżej nie znamy, ani ojciec, chociaż człowiek gwałtowny i niepoohamowany w zamiętaniu, ale wiek, ale pojęcia ówczesne, jakie się wyrobiły skutkiem upadku światła w narodzie. Bogaci, dumni, zuchwali Słuszkowie, kaprysy, zachcenie wzię-



J. B. SŁUSZKA. (Rysował Polkowski, podług sztychu będącego własnością p. Wislockiego).

li sobie za prawo. Z drogi musiał ustąpić im każdy szlachcic, a nawet sejm, król, Rzeczpospolita. Raz bratu Józefa, wojewodzie połockiemu, stanął na drodze Tworowski, sędzia ziemski orszański, „człowiek wieku sędziwego.“ Nie każdy przecie znoślił pychę tych królewiat polskich, jak nazywa ich ciągle Szajnocha za Kozakami i za Chmielnickim. Sędzia zapomniał, że z wojewodą tym nie upierać się mu, bo za słaby; najprzód więc Słuszkowski go „zdespektował“, a nazajutrz z dobrej woli z towarzystwem i sługami na dwór jego w Wilnie raniuchno najechawszy, tyrańsko sam własną ręką szablą zabił na łóżku wtenczas, kiedy sędzia myślał, że się już na despekcie skończyło. Królewęta mścili się bez końca. (Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, pod r. 1694, str. 484.)

Zbiór pamiętników o dawniej Polsce, IV, 474, 478, 482, wyd. lipskie.)

Bogusław Słuszkowski, ów „pan najbogatszy w całej Polsce“, ożenił się potem z Anną Potocką, wojewodzianką braclawską, córką Stefana z Mohylanki, wdową po Dominiku Aleksandrze Kazanowskim, wojewodzie braclawskim, stryjczynym bracie marszałka. Tak silne stosunki powiązały z sobą dwa te domy, że raz Kazanowski zenił się ze Słuszkówną, drugi raz Słuszkowski z Kazanowską. Wziął podskarbi po żonie dwie sieroty, małoletnie córki, na których się skończyła krew Kazanowskich, bo marszałek umarł bezdzietnym. Wiadome są późniejsze dzieje wdowy po marszałku, które doprowadziły do krwawego zajścia w Warszawie. Podskarbi odegrał w nich jedną z ról głównych;

Józef Bogusław Słuska, wziął po ojcu najprzód starostwo grodowe rzeczycie, bo królewicza prawie w pieluchach otrzymywali dostojności i starostwa po ojcach, stryjach i wujach, a jeżeli nie było żadnych, to brali je sami własnym prawem, dlatego że królewicza. Przez wyrok kommissy wojskowej w Wilnie z dnia 30 sierpnia 1667 roku, miał młody Słuska przysiąż w trybunale na starostwo i gród wyznaczyć. (Chrapowicki; dyaryusz w rękopiśmie.)

Znajdował się Słuska na elekcji króla Michała i podpisał się na generalnym potwierdzeniu praw Rzeczypospolitej (Vol. leg. V. 48), jako starosta rzeczycy. Na sejmie następnym w r. 1670, kiedy zabierano się do koronacji królowej, wyznaczony jednym z kommissarzy dla przywiezienia ze skarbcu krakowskiego koron i oznak dostojności królewskiej do Warszawy. (Vol. leg. V, str. 51, mylnie tu napisany Janem Bogusławem.) Niedługo król Michał mianował go łowczym w lit.

Obadwaj Słuszkowie przywiązali się do Michała Korybuta. W czasie pospolitego ruszenia na konfederację gołębską, podskarbi Dominik, młodszy brat łowczego, dowodził na sejmiku w Oszmianie i skarżył między innymi marszałka ziemskiego, że wziął 10,000 pieniędzy francuzkich na fakyce. Miał tego dowód w rękach, to jest list marszałka oszmiańskiego, w którym go zwolywał „do swój bandy“ (Chrapowicki dyaryusz pod r. 1672, str. 303). Ale obadwaj podskarbiowie złowić się nie dali. O Józefie wiemy, że udał się na wyprawę razem z królem i że bił się w sławnym zwycięstwie pod Chocimem.



SEUP GRANICZNY POD WSIĄ BOGUSZAMI. (Rysował z natury Lewicki.)

Na drugiej elekcji w r. 1674 znajdował się Słuska razem ze stryjem swoim, Zygmuntem, chorążym w lit. Obadwaj podpisał tę elekcją na czele powiatu rzeczycy, najprzód stryj, potem synowiec (Vol. leg. V, str. 326). Stryj, powróciwszy z Warszawy, umarł w Czasznikach „kiedy, zda mi się, może sam fundował ojców dominikanów“, mówi Niesiecki. Jan III posłał zaraz Józefowi przywilej na chorągwo wielkie litewskie.

Widać króla ujmował rycerski animusz Słuski. Po jednej wojnie wielkiej, przed drugą, zjechał na sejm koronacyjny, król dobieł sobie deputatów do boku, „aby rada i namowa na pogotowiu była“. Deputatem takim wyznaczony Słuska 1676 r. z Litwy (Vol. leg. V, 352). Nie rozstawał się z nim król i później, bo kiedy stanął Słuska potem na sejm roku 1678, znowu wyznaczony do boku (Vol. leg. V, 553), nadto kommissarzem do podzielenia na wojsko litewskie świeżo na sejmie uchwalonej hiberny (Vol. leg. V, 617).

Pod koniec r. 1678 Słuska, według Niesieckiego, dostał się do senatu. Byłby to po ojcu i stryju trzeci dopiero wielkoradca Rzeczypospolitej ze Słuszków. Miał wziąć łaskę nadworną litewską, ale to mniej pewna, jak zobaczymy.

Na te względy królewskie dla niego wiele wpłynęły stosunki krwi, związku przyjaźni i jeszcze pewna okoliczność. Anna Marya Kazanowska, starsza siostra przyrodnia młodych Słuszków, była za Stanisławem Jabłonowskim, wojewodą ruskim, hetmanem polnym koronnym, osobistym przyjacielem królewskim. Była to niewiasta świętobliwa, zacna, wzór wszelkich cnót i do-



KOŚCIÓŁ ŚW. SALOMEI W GRODZISKU. (Rysował z natury Dziurkowski.)

skonałości. Król ją szanował, a przyjaciela kochał. Drugą jej siostrą, Helena Kazanowska, była księżniczka u Wszystkich Świętych we Lwowie; tamże znowu miał Jan III i siostrę rodzoną i ciotki zakonnicami. Król lubił to hetmańskie miasto, straż Rusi na granicach koronnych. Dla niego był Lwów grodem pełnym wspomnień rodzinnych. Sam Słuska był tak samo pobożny, jak król Sobieski. W wieku ascetycznym, patrząc na przykłady rzadkie poświęcenia się i abnegacji, i ten twardy, dumny rycerz, obok ćwiczenia się w sztukach wojennych, jak bohater zakonny, ćwiczył się w cnotach. Miał osobliwe miłosierdzie na ubogich i sprawiedliwość w sądach. Zdaje się że nie był taki jak brat popędliwy i że lepiej praktykował miłość chrześcijańską. Nabożny był i ze zwyczaju i z przekonania. Na trzy dni przed Wielkanocą zamykał się zwykle w zakonnym domu na świętobliwe rozmyślenia. Zawsze ze skruchą myślał o śmierci.

Ożenił się Słuska z Teresą Gosiewską, córką owego nieszczęśliwego hetmana i podskarbiego, co to zginął rozsielony wśród konfederacji wojskowej za Jana Kazimierza. Pamięć ministra tego święta była w narodzie. Jeszcze sejm z roku 1678 kazał córkom jego wypłacać summy, któremi zadłużyła się ojcu Rzeczpospolita (Vol. leg. V, 627).

Na sejmie z r. 1683 trwały układy króla z ministrami rakuskiemi o wyprawę wiedeńską. Do liczby kommissarzów dostał się i Józef Słuska, ale jako chorąży w. lit., a więc nie był jeszcze marszałkiem nadwornym, jak prawi Niesiecki. Laska musiała długo wakować, bo nawet śladu trudno znaleźć, ktoby ją podówczas piastował. Traktat z cesarzem podpisał 31 marca w Warszawie (Zaluski, Epistolae, I, str. 805). Zaraz począł się gotować z królem, z Jabłonowskim i z Władysławem Denhoffem, wojewodą pomorskim, szwagrami swemi, na wyprawę. Denhoff miał za sobą jedyną jego siostrę Konstancję Słuszkównę. Słuska „z fortuny swojej niemal sumę wypisał był na potrzeby ojczyzny, owszem życie swoje za nią nie w jednej okazji gotów był położyć.“ (Niesiecki.)

Zdaje się że dopiero na tę wyprawę wiedeńską zamianował go król marszałkiem nadw. lit. w r. 1683. Piastował łaskę Słuszki niedługo, kilka miesięcy za ledwie przed wyprawą i w czasie samej wyprawy. Nie odznaczył się na niej świetnymi czynami wojennymi, bo niema nic ani w dyaryuszach, ani w relacjach z wyprawy wiedeńskiej o jego bitwach, i żadnej o nim wzmianki nie spotykamy nawet w listach Jana III do Maryi Kazimiry. Jednakże rycerską spełniał powinność, jak należało, w sławnej bitwie pod Parkanami, w której zginął szwagier Słuszki, wojewoda pomorski. Król na pomoc chorągwi Rafała Leszczyńskiego, zewsząd otoczonej od nieprzyjaciela, posłał kilku senatorów, którzy byli pułkownikami: Denhoffa, Słuszkę marszałka, Krasieńskiego referendarza; wszyscy starli się dzielnie, ale Denhoff już nie powrócił (Zaluski, Epistolae I, str. 847). W ciągu tej wyprawy musiał król mianować Słuszkę kasztelanem wileńskim po Erneście Denhoffie, który był także pod Wiedniem. Ale niezmiernie nas dziwi, że król-bohater gotował Słuszcze jednocześnie buławę. Czy wybór ten dlatego padł na pana kasztelana wileńskiego, żeby królowi nie bruzdził nikt w dowództwie? Być może. Miał już dosyć Jan III zmartwienia z Pacem, z Sapiehą, nawet z samym Jabłonowskim, żeby buławą obdarzać jeszcze jednego ze swoich osobistych nieprzyjaciół. I Pac, i Sapieha, i Jabłonowski, byli to ludzie rycerscy, obyli z wojskiem; Słuska zaś, jak każdy mniejszy i większy szlachcic, biegł na głos ojczyzny, gdy wołała, w boju nigdy osobno nie dowodził. Zdaje się że Jan III, wybierając go do buławy, głównie wybierał sobie przyjaciela, człowieka o którym wiedział że ustąpi, nie tylko przez uszanowanie dla majestatu, ale przez sam szacunek dla wyższych pana zdolności wojennych.

Jan Ogiński, hetman polny litewski, umarł w Krakowie 25 lutego 1684 r., za powrotem z wyprawy wiedeńskiej, rychło zatem wziął osieroconą po nim Słuszkę buławę. Kasztelan wileński i hetman polny lit. Stał odtąd Słuska na szczycie i dalej nie posunął się w górę. Lat 20 jeszcze przeżył na tych stanowiskach na usłudze ojczyzny.

Brat jego Dominik został w tymże czasie wojewodą połockim.

Hetman polubił z urzędu wyprawę wojenne. Świadczą konstytucje, że w r. 1685 ciągle chodził z królem na nowe wojny przeciwko Turkom i Tatarom. Brat wojewoda nieraz mu towarzyszył. Zdał hetman na niego starostwo rzeszyckie jeszcze przed wyprawą wiedeńską. Sam za to brał w zasługach od króla inne starostwa, zarówno w Koronie, jak w Litwie. Za Rzeczycę wziął starostwo puńskie pod Kownem, lanckorońskie pod Krakowem, pieniańskie i jezierskie (pewnie jezierzyckie na pograniczu białoruskiem).

Rzeczpospolita nie miała nigdy zasobnego skarbu; hetman nie żałował szkatuły i po staropolsku potrzeby ojczyzny z własnych zasobów opatrywał. Tak w ciągu lat pięciu, od r. 1685—1690, wydał „na różne ekspensy“ za jurgiety i za barwy sumę 449,985 złp. Wywiódł to na sejmie przed deputatami Rzeczypospolitej. Sejm uchwalił „aprobacją likwidacji w kasztelana wileńskiego, hetmana polnego w. ks. litewskiego,“ to jest nakazał skarbowi litewskiemu, ażeby tę sumę wypłacił Słuszcze z podatków nadzwyczajnych (Vol. leg. V, 815—817).

Na sejmie 1685 r. wyznaczony rezydentem do boku królewskiego, od dnia 1 grudnia do 1 marca (Vol. leg. V, 734).

Jak mógł pan polski nie być fundatorem jakiego kościoła lub klasztoru? Słuska, jak inni, w dobrach dziedzicznych Wolożynie wznosił i uposażył kościół bernardynów. Sejm w r. 1690, ten sam co nakazał wypłatę długu, aprobował i tę pobożną fundacją (Vol. leg. V, 828).

W bardzo gorącej sprawie biskupa wileńskiego z hetmanem Sapiehą, która podrażniła cały ówczesny świat polski, Słuska nie trzymał się na uboczu, jakby to się zdawało z milczenia źródeł historycznych. Hetman p. lit., tak później jak i wcześniej, odbywał wyprawy we własne granice pod Kamieniec, tylko już nie z Sapiehą, ale razem z hetmanami koronnymi.

Sapieha nie miał czasu, musiał się kłócić z królem, z biskupem, z duchowieństwem, ze szlachtą. Król rad był upokorzyć cokolwiek Sapiehów, ale trudno to było. Hetmani trzej, dwaj koronni, Jabłonowski i Szczęsny Potocki, z trzecim Słuszką, stojąc raz nad Dniestrem, (było to w ostatnich prawie chwilach panowania Jana III), naradzali się jak pomódz Sapiehom. Postanowili we trzech razem napisać list do papieża, ze skargą na biskupa wileńskiego. Ten dokument jedyny z dnia 10 października 1694, datowany w obozie, objaśnia stanowisko Słuszki w tej sprawie. Bez niego nie wiedzielibyśmy nawet, co o niej myślał (Zaluski, Epist. hist. famil. I, str. 4380).

(Dokończenie nastąpi.)

Śłup graniczny pod wsią Boguszami.

Ze wszystkich stron naszego kraju Augustowskie najmniej obfituje w starożytne zabytki; tém więcej przeto zasługuje na uwagę istniejący dotąd pomnik pod wsią Bogusze, o pół mili od miasteczka Grajewa w powiecie augustowskim, na samej granicy pruskiej leżąca. Jest to śłup murowany, stojący na linii granicznej, który, jak napis na nim znajdujący się poświadcza, wzniesiony został w r. 1545 przy rozgraniczeniu od ówczesnej Polski tej części Pruss, która w r. 1525 przez króla Zygmunta I w lenne posiadanie siostrzeńcowi jego, Albertowi margrabiemu brandenburgskiemu, puszczoną została.

Jak wiadomo z historii, w ten sposób zakończył się odwieczny spór Polski z zakonem krzyżackim; wtedy bowiem wyżej wspomniany Albert, zrzekłszy się tytułu i dostojęstwa Wielkiego mistrza, został księciem Pruss wschodnich, odebrał uroczystą od króla inwestyturę w Krakowie i na wieczne czasy obowiązał się do lennictwa Koronie.

W późniejszych czasach ten postępek Zygmunta Staroego za błąd polityczny uważano; to jednak pewna, że rozerwanie niechętnego zakonu, a osadzenie w Prussach domu spokrewnionego, miało wszelki pozór dobrze zrozumianego interesu państwa. Wprawdzie skutek zawiódł te rachuby; inaczej przecież sądzić tego faktu nie można, jak po dokładnym obeznaniu się z kierunkiem ówczesnej polityki i zwyczajów dyplomacji dworu polskiego.

Śłup ów graniczny pod względem sztuki niczém się nie odznacza; ma on na sobie wyobrażenie herbów koronnych, a zwłaszcza pogoń litewską i ówczesny orzeł pruski z koroną na szyi i głoską S na piersiach, płaskorzeźbą na kamieniu piaskowym dosyć niezgrabnie wykowane, a niżej tablicę z wklęsło wrytym następującym napisem:

Quando Sigismundus Patrius augustus in oris primus et Albertus Marchio jura dabant. Ille Jagellonus veteres quae binominis urbes hicque Borussia pace regebat opes. Haec erecta fuit moles, quae limitae finis signat et amborum seperat arua Ducum Anno MDXLV Mense Augusto.

Kamień w wielu miejscach przez czas zniszczony, litery nawet nie wszędzie do wyczytania łatwe.

Lud tamtejszy utrzymuje, że w tym śłupie znaczna ilość sreber została zamurowana. Z tego powodu włościanie od strony Prus napadają go w nocy, świdrem wiercą w ceglach i dobrze podkopują kamienie, tak iż obecnie zagrożony jest zupełnym zaważeniem się, jeżeli jaka miłująca pamiętki historyczne ręka go nie wesprze i od dalszej zagłady nie uratuje.

KOŚCIOŁEK ŚW. SALOMEI W GRODZISKU.

Sliczną doliną ojcowską pomiędzy skałami, idąc ciągle brzegiem Prądnika, zwidzając te czarowne strony dochodzi do jednej z najwyższych skał, zupełnie ciemnym lasem obrosłej, która się Grodziskiem albo pustynią św. Salomei zowie. Chociaż odludne i niedostępne jest położenie tego miejsca, bogate ono przecież we wspomnienia historyczne.

Tu na początku XIII stulecia Henryk Brodaty księżę szląski, ubiegając się z Konradem księciem mazowieckim o opiekę nad blizkim ich powinowatym, małoletnim Bolesławem Wstydlwym, a raczej o rządzenie Polską, aby mieć w blizkości swego kraju dogodne stanowisko, wystawił w r. 1228 gród warowny, który Długą skałą albo Kamieniem nazwał. Lepszego nad to nie mógł on znaleźć miejsca. Natura, kształcąc tę niedostępną skałę, której ściany zupełnie są prostopadłe, dla obrony jej sama wszystko zdziałała, zbyt mało od sztuki potrzebując pomocy. Wnijscie bowiem na szczyt z jednej tylko strony było łatwe, a tego bronil mur kamienny. W nim też po dwakroć dzielnie się Mazurom bronil, dopóki syn Konrada ostatecznie nie dobył zamku w roku 1242, zmusiwszy do poddania się zawartego w nim Klemensa z Ruszczy wojewodę krakowskiego, który go chciał obronić na rzecz Bolesława Łysego, syna Henryka. Lecz gdy z pełnoletnością Bolesława Wstydlwego ustały zatargi o opiekę i o gród skalski, monarcha ten, będąc w jego posiadaniu, zmienił warownię na klasztor i oddał ją zakonnikom reguły św. Franciszka, klaryskami zwanym, które sprzykrzywszy sobie pobyt w Zawichoście, częstemi napadami tatarskimi zagrożanym, w tę skalistą przeniosły się pustynię. Zarazem nadał im tenże Bolesław przyległą wieś Sławków, pozwalając jej mieszkańcom rządzić się prawem nienieckim. Z tej to wsi powstało dzisiejsze miasteczko Skała, niewielkie, drewniane, ale dosyć czyste, sam zaś erem zakonnic, na miejscu dawnego zamku Skała wzniesiony, przybrał nazwę Grodziska.

Dla siostry Bolesława Wstydlwego, pobożnej Salomei córki Leszka Białego, stała się ta odmiana. Jeszcze dziecięcim będąc, pobożna księżniczka ślubowała Bogu poświęcić się jego chwale; lecz okoliczności krajowe i interes państwa inaczej zrzuciły. Była zatem wydana za męża za Kolomana króla halickiego i dopiero po śmierci tegoż dopełniła swego życzenia. Jakoż wróciwszy wtedy z ogromnymi bogactwami do Polski, w Zawichoście klasztor klarysek założyła i wyrzekła w nim śluby zakonne. Nie mogąc atoli tam utrzymać się, dla częstego napadu Tatarów, nakloniona przez brata, przeniosła się do zamku skalskiego, przerobiwszy z niego klasztor i kościół pod tytułem św. Magdaleny. Wtedy to, jak pięknie przed laty napisała panna Tańska „niespokojną siedzibę śmiałych i dzielnych rycerzy, zajęły lekliwe i słabe istoty; o mury do szczyku zbroi, do gwaru wesółych biesiad lub krwawych kłótni nawykłe, obil się odgłos hymnów pobożnych, a miejsce na ścianach, gdzie helmy i puklerze błyszczaly, zakryły długie lniane zasłony i świętych obrazy.“ Tu św. Salomea w modlitwach i postach, w przykładzie cnot wszystkich siedmi lat przepędziwszy, świętobliwy swój żywot dnia 10 listopada 1267 r. zakończyła. Przez czas jakiś spoczywały jej zwłoki w małej kapliczce, będącej niedaleko domku, gdzie zupełnie samotne dni często pędziła, i dopiero w następnym roku przewieziona zostało ciało z wielką okazałością do Krakowa i złożone w kościele oo. franciszkanów, gdzie dotąd spoczywa.

Kościół klarysek, z zamku skalskiego przerobiony, wystawionym będąc na częste napady zbójców, w początku XIV wieku został opuszczonym. Zakonnice przeniosły się w r. 1320 do Krakowa i przy kościele św. Andrzeja osiadły, a mury pierwotnego ich klasztoru, wystawione na pastwę czasu, wkrótce poszły w ruinę. Za ledwie bowiem we trzy wieki potem zakonnice krakowskie, jako dziedziczki tego miejsca, uzyskawszy hojną zapomogę króla Władysława IV, wystawiły w r. 1642 na nowo mały terazniejszy kościółek w Grodzisku, pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Panny, który w r. 1677 przez ks. Sebastjana Piskorskiego, profesora akademii krakowskiej a tutejszego prebendarza, upiękniony, następnie ku końcowi zeszłego stulecia z gruntu podźwigniony i marmurowymi rzeźbami przyozdobiony został.

Na otaczającym go murze wznosi się pięć posągów kamiennych. Te posągi z napisami łacińskimi wyobrażają Kolomana króla halickiego, męża św. Salomei, Bolesława Wstydlwego, św. Kunegundę żonę jego, Henryka księcia wrocławskiego i św. Jadwigę. Wprost zaś bramy wchodowej jest na podstawie i śłupie kamiennym posąg św. Salomei, który na czterech bokach swojej podstawy ma następne napisy:

1) *B. Salomeae virginii, reginae Haliciae, Poloniae principii patronae.*

2) *Fratris pudici regia liberalitate fundatrici, Herae piaeque matri.*

3) *Hic annos vixit septem, totidemque resurgens post menses, tumulo reddita Cracoviae est, corpore abiit nolens, quia praesens mente remansit. Frondet ibi simul, hic virgula floret Aron.*

4) *Adorate in monte sancto ejus petrae refugium.*

Co znaczy po polsku:

1) Błogosławionej Salomei dziewicy, halickiej królowej, Polski głównej patronce.

2) Brata Wstydliwego królewską szczerobliwością założycielce, pani i pobożnej matce.

3) Tu żyjąc lat siedm i po tyluż powstając miesiącach, zwrócona grobowi w Krakowie, ciałem odeszła niechętna, bo obecna myślą pozostała. Zielenieje tam równie, tu gałązka kwitnie Aarona.

4) Czczycie na górze świętej jej skaliste schronienie.

Terazniejszy kościółek, maleńki, ale bardzo kształtny i dobrze utrzymany, stoi na szczycie ułamku ogromnej skały. Za cmentarzem jest domek, w którym widać dwa miejsca na groby; w jednym z nich, według podania, odpoczywały jakiś czas zwłoki św. Salomei. W nim mieszka pustelnik, żywiąc się z jałmużny jaką mu hojne ręce ciekawych lub pobożnych pielgrzymów składają; miejsce to bowiem bywa zawsze licznie odwiedzane. Przed drzwiami tego domku stoi pomnik, na cześć świętej założycielki wzniesiony: jest to obelisk z granitu, z jednej sztuki, dosyć wysoki, który za podstawę ma słonia, także z jednego kamienia wyciosanego. Niżej domku pustelnika jest jeszcze drugi, zwany domkiem św. Salomei, w kształcie grotty, wyłożony stalaktytami i muszlami, w którym różne, na pół już wytarte znajdują się napisy. W nim pokazyują i łóżko, na którym sypiać miała. W tych atoli świętobliwego jej żywota pamiątkach widać oczywiście późniejszą rękę. Dalej rozpoznać się dają szczątki muru z dawnej warowni pozostałe, który bronił jedynego do niej wejścia. Czas i wiatry tu panujące przykryły go tak głębokimi warstwami ziemi, iż na jej wierzchu wyrosły wspaniałe dęby, co niewątpliwie wiele już wieków pamiętają.

O kilka kroków za pustynią św. Salomei skała się kończy, w ogromną zamieniając się przepaść, ale prawie wszędzie zakrytą krzewami i drzewem. Z niemałym trudem schodzi się ztąd na dół nad brzegi Prądnika, który czyste swe wody toczy, chociaż:

„Z obu stron nagie skały cisną jego łoża,
Lecz pędu zuchwałego nie wzstrzymać nie może,
Ni go wdziękiem swym łączka zabawi wesoła,
Ani młynów bezlicznych kręcące się koła;
Leci osłep na prądy, po głazach się wspina
I w nurtach pysznej Wisły bytu zapomina.

Tomasz Padura.

Podając kilka nowych utworów znanego oddawna poety w narzeczu ukraińskim, musimy przypomnieć naszym czytelnikom jego prace.

Tomasz Padura urodził się na Ukrainie, odebrał wykształcenie naukowe w słynnej szkole krzemienieckiej i przez czas długi na Wołyniu przebywał. Od r. 1817 do 1820 podróżował na Wschodzie przy Wacławie hr. Rzewuskim. Bawiąc na jego dworze, uczył teorbanistów pieśni swoich i sam do nich tworzył melodye; ci teorbanisci roznosili potem po Ukrainie, Wołyniu i Podolu jego utwory.

Tomasz Olizarowski, w *Śpiewie Kozaka*, opisuje tę właśnie chwilę z jego życia.

Był u grafa (*) pan Padura,
Nie bardzo to świecił zdrowiem,
Ale zwinny jak *wiun*, chmura
Nie tak chybka. Cóż powiecie,
A do konia jakby dziecię.
Lecz jak siądzie na dywanie
Śród pokoju z Kozakami,
Jak pociągnie po torbanie
Białą ręką, a oczami
Jastrzębiem jak po strunach,
Po ćalunach i piołunach,
Po kozackich twarzach mignie,
To niech w tobie serce stygnie
Od wieczora, nie zastygnie
I do rana. Gdy dwanaście
Po torbanach razem stuknie,
To na tobie jak na chwaście
Pełnym rosy huk osiada,
Twojem sercem dumka gada!

(*) Wacław hrabia Rzewuski, grafem przez Kozaków i dworzan zwany.

Pan Padura dumek uczył:

Dał się w znaki, oj dokuczył
Tém uczeniem, lecz nauczył.
Ta to cała Ukraina
Dziś dumkami brzmi Padury,
Na podolskie już tam góry
Po nad same lecą chmury
Dumki nasze. Nie nowina
I w Krzemieńcu. Jak tam byłem
Na posyłce: *jak tu głucho*,
Sam do siebie wymówilem,
Aż tu dumka w samo ucho
„*Zakotywo sia miśać w hmaril*“ (*)
Jak nie jeknie! Lecz z gitary
Nie z torbanu, nie z torbenu.

Po zgonie Wacława Rzewuskiego Padura wiele wycierpiał. Moralnie złamany, osiadł w zaciszu wiejskim niedaleko Kijowa, i tam dotychczas przemieszkuje.

Dumki jego, zanim drukiem upowszechnione zostały, brzmiały w ustach w całej Galicyi znaczne i śpiewano po dworach szczególnież w części właściwej Rusi-Czerwoniej.

Bohdan Zaleski starał się o nie i w rękopisie odczytywał je nam z roskoszą, unosząc się szczególnież nad ową prześliczną dumą *Roman z Koszary*.

Padura i Bohdan Zaleski w poetycznych dumkach przedstawili nam życie dawne kozackie, Dzielna ta drużyna żyła tylko i oddychała wojną przeciw Tatarom i Turkom. Nic jej lepiej nie charakteryzuje, jak słowa ich hetmana *Pawłuka*, gdy w więzieniu zapytany od kapłana, czy nie żąda spowiedzi, odpowiedział:

„*U koho moja szabla, pry tomu i hrichy, bo w szabli dusza kozacka.*“

Padura żył w przyjaźni z *Zoryanem Dołęgą Chodakowskim* (Czarnockim) i *Tymonem Zaborowskim*, autorem *Dum podolskich*. Pierwszy nadsyłał mu zebrane pieśni pomiędzy ludem, i kilka nawet zwrotek z dumy o *Eustachym Daszkiewicz*u, które schwytał z ust stygnących ostatniego może lirnika ukraińskiego.

Krążące w rękopisie pieśni Padury, Kajetan Jabłoński księgarz we Lwowie wydał p. n. *Pienia Tomasz Padury* (r. 1842). Z powodu że przymieszano tu utwory obce, Padura sam przygotował zbiór swoich dum i wydał go w r. 1844 w Warszawie p. n. „*Ukrainky z nutoju Tymka Padury.*“

W r. 1848 ostatni raz odwiedził Warszawę: tu zbierał zasoby do dziejów kozackich. Średniego wzrostu, przypruszony siwizną, oczu czarnych, pełnych życia i ognia, w których się uczucie poetyczne i szlachetność duszy przebija, pelen zapału do tego co piękne i wzniosłe, nierad udziela się ludziom, przynosząc pogawędkę z przyjaciółmi, nad liczniejsze towarzystwo. Dziś w samotności wiejskiej nie porzucił pióra: pracuje nad obszernym poematem „*Podróż Czajld Harolda po Słowiańszczyźnie.*“

Dla pokazania jak włada ojczystym językiem, przytaczamy tu ustęp pierwszej pieśni tego poematu.

„Z górnej komnaty w zamku z szarego granita,
Wyszła patrzeć z kruzganku z młodzieńcem kobieta,
A można było ujrzyć za rzutem zrenicy
Cały tęskny krajobraz pustej okolicy,
Bo zamek był na górze. Zamiast baszt, po wale
Bujały dzikie chwasty; u spodu przy skale
Z dalekich gór wybiegła na płaszczyznę rzeka,
Kąpie się zaroślami i w cieniu ucieka
Na stopy nieprzejrzone jak niebios błękitny,
Z pod których krzyk zórawia w otchłani rozbity
Dzikiem echem osiada z rosą po dolinie;
Jakieś sędziwe szczątki drzemiące w ruinie
Pomników czy ołtarzy; dalej w step szeroko
Szarzące kurhany jeszcze wabią oko,
Nim usną w mgłę wieczornej, bo słońce połową
Wygląda z chmur zachodnich na górę zamkową,
Gdzie od deszczu wezbrane, spadające z opoki,
Śpiewały hymn naturze szumiące potoki.“

Melodye dodane do *Ukrainek* Padury są jegoż utworem. Padura nut nie zna; pierwszym co jedną z nich spisał muzycznymi znakami, był emir *Tag-El-Facher-Abd-El-Niszan*, inne ujął w nuty znany Karol Lipiński, a jedną dumkę p. t. *Pieśń Kozacka*, słynny muzyk pod melodyą własną podłożył.

Oto są utwory ukraińskiego poety, o których wspomnieliśmy na wstępie. Dołączamy do nich wierne tłumaczenie polskie.

(*) Więsz z dumki Padury.

I.

MURASZKA.
DUMA.

Pidnësyś witre z mohyl i stepiw
I sumno w dubrowach zaduj!
Może prawnikam podasy mij spiw,
A może woroham wiszczuj....

Szczëz në osily pył ni tumany,
Z horiw Bateja hrëmyt spyż,
W Ładyżyn (*) wernut w tmi Bisurmany,
I waliw szczoraz blyż a blyż.

Szejtan na misto wede Jeńczary,
Dowho derżało i zdałoś,
Łysz nim do zamku dijszy Tatory
Krowi potopom zalałoś.

A zamek strëmyt jak u przystani
Sudno drimaje na chwyli;
Zwaliw Muraszka (**) jak z mora twani
Siaje maszt w mraci i pyli.

Z plecza cilnuju jeńczarku zwisyw,
Bułat łyskuczuj w prawyci;
Hlanuw na misto, rubawby, mjasjyw,
I w sotni zwërnuw zrynyci.

„Bezczęstiem każe në kupym żytia,
Persz naszych smertej widstimos;
Biuczys za mylu otczynu bratia.
Lahnem, łysz sławni skinczimos!“

Skazaw, udaryw—pył i tumany
Szëroko nebo zakryły,
Polabły sotni, szczëzły pohany,
Tilky pidneslys mohyły.

Pidnësyś witre z mohyl i stepiw
I sumno w dubrowach powij,
Kotyś z nym do was sej załëtyt spiw
O zemle, o narode mij!

(Przekład polski.)

Muraszka.

Podnies się wietrze z mogił i stepów i posępnie
w dąbrowach zadmij! może prawnikom podasz mój
śpiew, a może wrogom zawieszysz....

Jeszczeż nie osiadł pył ni tumany; z gór Batego
grzmi spiz; w Ładyżyn wałą się ćmą Bisurmany,
ny, i wałów są coraz bliżej a bliżej.

Szejtan na miasto wiedzie Janczary, długo trzyma-
ło się, i zdawało że do zamku doszli Tatarzy, zalało się
krwi potopem.

A zamek sterczy jak w przystani drzémie statek na
fali; z wałów Muraszka jak z morza otchłani błyszczą
maszt w pomroku i pyle.

Na ramię celną janczarkę zwiesił, bułat błyszczą-
cy w prawicy; spojrzal na miasto — rabałby, siekał,
i na seciny zwrócił zrenice.

„Bezczęścią, rzecze, nie kupim żywota; wprzód
odemścijmy się śmierci, naszych walcząc za ukochaną
ojczynę bracia, polegniemy, lecz ze sławą“

Wyrzekł, uderzył—pył i tumany szeroko nebo za-
kryły, poległy seciny, rozpierzchli poganie, tylko się
wzniosły mogiły.

Podnies się wietrze z mogił i stepów i posępnie
w dąbrowach powieć! kiedyś z nim do was ten za-
leci śpiew, o ziemio, o narodzie mój!

II.

UKRAINA.

Raj se bożyj, czy wselenna
Znesła siudy z nebes krasu?
Czyś tak wyjszła z peluch czasu
Wid Hospoda sotworena?
Deno ludzka myszl zapade,
De spoczyty oko siade,
Wsiude dywo, czudo wsiude!
Tutky dwory, tutky lude,
Jak jich na świt perszoho dnia
Z ruk pustyla mić hospodnia,
Bezkonieczne zelenijut,
Bezkonieczne molodijnut,
I wzywajut wika ćwitu
I bez krowi i bez pitu,
A wse stałoś jidnym chuchom!

(*) Ob. *Historia Małej Rossyi* Dym. Ban. Kamińskiego cz. III str. 139.

(**) Ob. *Pamiętniki Jana Chryzost. Paska* str. 90-4.

Wsiach z soboju jak łańcuchom
Powjazala luboszcz, zhoda.
Tutky razem wsia przyroda
Jakto buło przed wikom
Z perszym w raju czolowikom,

Wid pokoliń w pokolinie!
Chtoż tut pan jest, chto władar?
Nime, mowne—wse rodyna,
Zemia koźdomu otczyna,
I suszczym nebesa—wiwtar.

kazasięga taka swoboda nianczy kaźde stworzenie od po-
koleń w pokolenia! Któż tu pan jest, kto władca? Nieme,
mówiące, wszystko rodzina, ziemia kaźdemu ojczyzną,
żyjącym niebiosia oltarzem. Kaźdy widzi boże oblicze;
jedni widocznie ją mieszczą w sobie, drudzy cudem o



DAWNY KLASZTOR KARTUZÓW W BEREZIE. (Rysował Podbielski, podług szkicu z miejsca nadesłanego.)

Hude piśni z ciłym tworom,
Jakby chërowymiw chorom,
Na widplatu czy utichu
Besmertnomu i bez hrichu!
Bo wsim dariw bożych spilniś';
Jak myszl ludzka taka wilniś'
Nianczyt koźde sotworinie

Wsiakij baczyt božu twar,
Jidni wydnu w sobi miśtiał',
Druhi czudom o nij wiśtiał',
A premudrosti wëlycza
Czerez anheliw oblycza,
Posyłaje tworom—pryliš',
Rozlywaje w sercia—myliš',
I wsi tak żyjut z soboju,
Nynaczyj dusza z duszoju;
Szczu jak dëtia w dałeczini
Spustyw otec z wysoczyni,
Kotoryj buw, jest' i bude!
I z nym budut zwitcy lude...
Bo jakyjże schocze blyźni
Widczëpytyś z teji dwyźni,
Szczu i tiłom i duszamy
Obniała sia z nebesamy?
I zminyty w netry raj,
Żytia w czortiw obyczaj?
Koly jidno na wselenni
Czujut mertwi i roždenni:
Zasiwaj sia i rodyś,
Żyj szcastywe i kińczysz—
Czy seż naszich predkiw kraj?

(Przekład polski).
Ukraina.

Raj to boży, czy wszechświat zniósł tutaj z niebios
piękności? czy tak wysłaś z pieluch czasu od Boga
stworzona? Gdzie tylko ludzka myśl zapadnie, kędy
spocząć oko zechce, wszędzie dziwo, cudo wszędzie!
Tutaj istoty, tutaj ludzie, jak ich na świat pierwszego
dnia z rąk rzuciła moc Pańska; bez końca zielenieją,
bez końca odmładzają się, i używają wieku kwitnienia
tchem! wszystkich z sobą jak łańcuchem powięzala
lubość i zgoda. Tutaj razem cała przyroda, jak to było
przed wiekiem z pierwszym w raju człowiekiem, brzmi
pieśni z całym światem jakby Cherubinów chórem,
na odpłatę czy uciechę Nieśmiertelnemu bez grze-
chul Bo wszystkim dary boże są spólne; jak myśl ludz-

niem głoszą, a najmędrza potęga przez aniołów obli-
cza posyła istotom pociąg ku sobie, rozlewa w serca mi-
łość, i wszyscy tak żyją ze sobą, jakoby dusza z duszą,
którą jak dziecię w oddali spuścił ojciec z wysoko-
ści, który był jest i będzie! a ztąd będą z nim i ludzie!
bo jakież zapagnie bliźni odczepić się od tej dźwigni,
(Obacz Dod.)

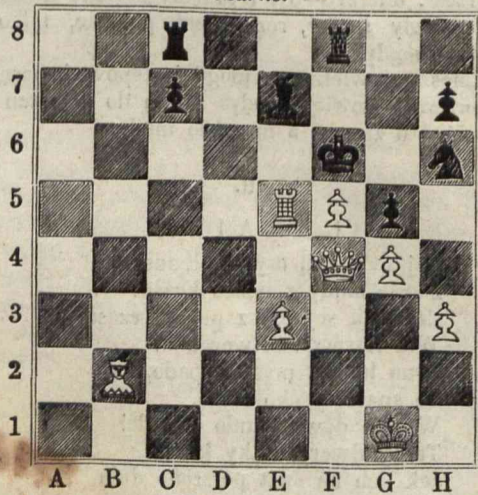
SZACHY.

ZADANIE LXXVI.

Z. Rosenthal z Suwalk.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym
posunięciem.

Czarne.



Białe.

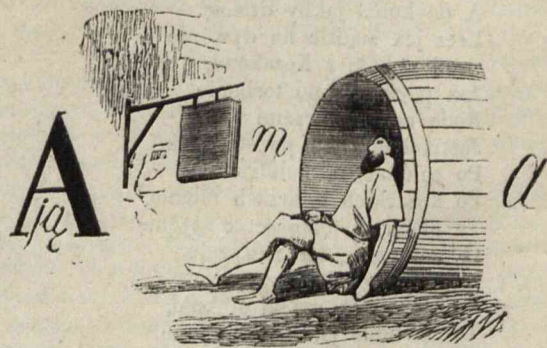
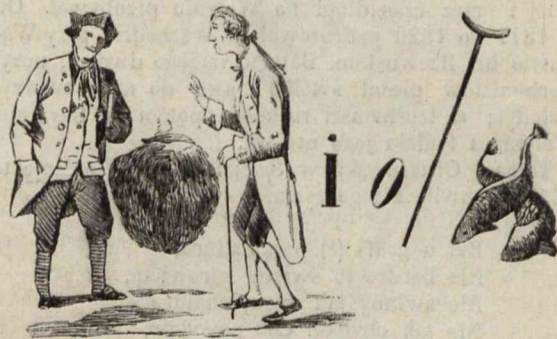
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 75.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------|---------------------------|
| 1) G4 — G2+ | 4) F4 — H3 biorą |
| 2) D5 — F4+ | 2) H3 — F4 biorą |
| 3) H7 — H6+ | 3) F4 — G6 |
| 4) F3 — F4 | 4) H4 — G2 biorą + i mat. |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 98.
Stara księga pewno nieraz więcej warta, niż niktę
bazgraty, któremi dziś zarzucają publiczność.
(Dodatek.)

co i ciałem i duszami objęła się z niebiosami? i zamienić raj w zdziczałość, życie w diabelski obyczaj? kiedy jedno po wszechświecie slysza umarli i zrodzeni: zasięwaj się i rozradzaj się, żyj szczęśliwie i umieraj. Czyliż to naszych przodków kraj?

III.

M A N D R Y W E C .

Ja z horiw schożu, nyz tuman skrywaje,
More dwyhnułoś i szumjat wody,
Ja jdu sumnyj, a czasto mene wzdoch pytuje:
Kudyżto, kudy?

Ni tutky sonce tak siaje,
Në tak tut kwit rosćwitaje,
Nudna dla mene owoszcz z derew sich;
Mowa tut w duszu moju në wlitaje,
Tut ja czużynij dla wsich.

O deż ty kraju isuszczysz!
Tak dowho zadanyj,
Nikoły nëdżdanyj,
O kraju nadijamy zeleniuszczysz!...

O słowno daleka de mij kwit zrostaje,
Deto mene z dorohy ridnia wyhladaje,
De w myli hroby spomyinka wede,
De w serce mowa rodywnia ide,
Deżto ty o zëmlë, de?...

Ja jdu sumnyj i tychyj, a tuha w slidy;
Wpered każe, zawsidy napered idy!
A tajnyj w duszi hołos do mene szepnuw:
Mandriwczë, znajdesz dołu tam, deś szcze në buw

(Przekład polski).

Wędrowiec.

Ja z gór schodzę, dolinę tuman okrywa, morze dzwignęło się i szumią wody; ja idę smutny, a często mnie westchnienie pyta: dokądto, dokąd?

Ani tu słońce tak świeci, nie tak tu kwiat rozkwita, ekliwy dla mnie owoc tych drzew; mowa tu w duszę moję nie wlatuje, tutaj ja obcy dla wszystkich!...

O gdzież ty kraju wymarzony! tak długo pożądany, a nigdy nie doczekany, o kraju nadziejami zieleniejący!

O strono daleka, gdzie mój kwiat wzrasta, gdzie mnie z drogi rodzina wygląda, gdzie do ukochanych grobów wspomnienie wiedzie, gdzie w serce idzie mowa rodzinna, gdzie to ty o ziemio, gdzie?...

Ja idę smutny i milczący, a tęsknota w me ślady naprzód woła, naprzód zawsze idź! a tajemny w duszy głos do mnie szepnął: wędrowcze, tam znajdziesz szczęście, gdzie jeszcze nie byłoś.

DAWNY KLASZTOR KARTUZÓW W BEREZIE.

Podróżny jadący do Brześcia gościńcem brzesko-bobrujskim, o mil 8 od miasta powiatowego Kobrynia, ujrzy na lewo od miasteczka Berezki bielejące mury, nad którymi wznosi się wieża kościoła: jest to dawna Kartuzya, dziś ogrom murów rozpadających się w ruiny.

Roku 1648 książę Kazimirz Leon Sapieha, syn najmłodszy kanclerza Lwa Sapiehy i Elżbiety Radziwiłłówny, jeden z najmłodszych panów litewskich, słynny z cnót i pobożności, położył kamień węgielny do kościoła berezkiego, w miejscu o wiorstę od miasteczka odległym. Na obrzęd ten zjechał, oprócz mnóstwa ludu pobożnego, panów i szlachty, nuncyusz papieżki, arcybiskup adrianopolitański Jan de Torres. Książę Kazimirz Leon sprowadził zakonników z Trewiru i nadał im miasteczko Berezę, z licznymi wsiami w okolicy na mil kilka leżącymi; 50 profesorów liczył ten klasztor, którego pierwszym przełożonym był Jan Hagen. (*) Dwadzieścia cztery domki osobne, z których każdy składał się z 3 pokoi i miał osobny obmurowany ogródek, okalało wspinały, miedzią kryty kościół; wszystkie miały wyjście na wspólny korytarz. Szereg ten domków, zbudowany w czworobok, obejmował ogród za cmentarz zmarłym zakonnikom służący.

Wszystko mieściło się w obszernym ogrodzie obmurowanym, mającym po rogach bastiony ze strzelnicami; dodajmy zabudowania dla służby, pałacyk który książę dla siebie wystawił, stajnie i mieszkanie dla służby księcia, a mieć będziemy w części wyobrażenie ogromu murów i kosztów na to wyłożonych. Kościół sam miedzią kryty, z kolumnami w których podstawy i ka-

(*) Ostatnim był ks. Gronkowski, wielkiej zaerności kapłan, który po zwinieciu klasztoru kartuzów, osiadł jako altarysta we wsi Hrudopolu, majątności p. Adama Jundziłła. Przed kilką jeszcze laty widzieliśmy się z nim osobście i nasłuchali się od niego wiele historyj berezkiego klasztoru.

pityte są z rudy żelaznej znajdującej się tu w wielkiej obfitości, przedzielony był na dwie części: jedną dla zakonników, ze stallami z dębu ładnie i starannie rzeźbionego, drugą z osobnymi kilką ołtarzami dla parafian i ludu pobożnego. Szkoda że ten zabytek, choć dotąd jako parafialny na chwałę Bożą służący, grozi ruiną; szczęściem myśli podobno o podtrzymaniu go dziedzic Sielca, jeden z potomków po kądzieli spoczywających tu w grobach Sapiehów.

Obok kościoła są dotąd ślady dawnych wałów które bronily miejsca świętego. Tradycya niesie że kościół ten, założony pod nazwą s. Krzyża, stoi na miejscu, na którym stał krzyż cudami słynący. Krzyż ten i dotąd w kościele się znajduje. Miały tu być bogate aparaty i krzyż lany ze srebra ogromnej wielkości, lecz tego już skarbiec nie posiada.

Podaję tu jeszcze szczegółową listę fundacyi księcia Kazimirza Leona Sapiehy. On to ufundował przy akademii wileńskiej katedrę obojga praw i teologii, ofiarując na to 12500 zł. i dobra Poczajowice; téż akademii darował bibliotekę rozańską. Zrobił dar po 3000 zł. na każdego idącego do szkoły nauczycieli. Kościoły w Siemiatyczach, w Brześciu jezuitów, w Słonimie kanoników laterańskich i o. o. bernardynów, którym dał dobra Derewnę, w Wilnie panien Franciszkanek, kościoły w Berezynie, Nowogródka, Zdzieciele, Ciemnowiczach, Horkach, Czerci, Biesienkowiczach i około 20 cerkwi jego są fundacyi.

Pan ten bogobożny, żonaty z Tarnowską, zszedł 1656 r. bezpotomnie. Zwłoki jego, przeniesione do Berezki, tu spoczywają.

Zmieniły się czasy: kraj nasz zasiany ruinami kościołów, świadczy o pobożności przodków. Mamy wprawdzie jeszcze choć niewiele fortun pańskich, ale z nich tylko okraszyny idą na pobożne cele. Wznoszą się czasem skromne kościoły, ale to ze składek, a budowa ich i trwałość stosowne téż są do środków którymi się budowały.

L. Dołżanski.

NOTATKI Z PODRÓŻY

PO

EUROPEJSKIEJ TURCYYI.

PRZEZ

Warszawianina.

I. STAMBUŁ.

(Dokończenie.)

Grecy, którzy tak w rysach twarzy, jak i w całym zewnętrznym układzie wiele z Perotami przedstawiają podobieństwa, i pod względem moralnym także niejedno wspólne z niemi okazują usposobienie. Również w nich żądza wzbogacenia się i błyszczącego nabytkiem, również łatwość wyrażania się wielką językami, równa wymowy płynność, przebiegłość, ruchliwość; także same w środkach do celu prowadzących nieprzebieżanie i także wreszcie częstokroć w użyciu uciech wyuzdanie. Tu przecież kończy się podobieństwo między Perotą i Grekiem, na tego ostatniego zaszczyt. W ogólności Grecy stambulscy, pomimo wszystkich wad, które im jako ludziom wytknąć można, są gorliwymi patriotami, czują się żywą narodem swego częścią, marzą o jego potędze i chwale, miłują się w obyczaju i stroju rodzinnym, a nade wszystko z spojrzenia każdego przeglądu duma wielkiej przeszłości rodu, a głęboka wzdarda i nienawiść dla Turka. Od uczuć tych zdaje mi się że nie są nawet wolni owi najzepsutsi z Greków, Fanaryoci.

Oddając wszakże patriotycznemu usposobieniu Greków zasłużoną pochwałę, dodać zaraz muszę, że patriotyzm ich niekoniecznie mądrym jest i sprawiedliwym. Marzeniem ich jest nie tylko Stambuł i mówiące po grecku dzielnice wcielić do niepodległej Grecyi, ale nadto odbudować dawne byzackie cesarstwo, to jest rozciągnąć swą władzę jak można najszerzej nad różnemi dzisiejszej europejskiej Turcyyi plemionami. Jakim sposobem naród nieprzechodzący dwóch milionów, po wielowiekowym upadku sam dopiero zorganizować się potrzebujący, może rościć sobie prawo do panowania nad bez porównania liczniejszym słowiańskim żywiołem? — jest to jedna z dziwnych próżności narodowej tajemnic, których rozumem zdrowym pojąć trudno.

Pod względem obyczajowym Grecy, ze wszystkich mieszkańców dzisiejszej Turcyyi, najczęściej przedstawiają ogłady i towarzyskości. Skutek to stanowiska zajmowanego u nich przez kobiety, które nie będąc upośledzonymi służebnicami, jako wolne i równe towarzyszkami dzielą z mężami swemi życie i zabawy. A już to bawić się lubią wszyscy, rzecz można zapamiętałe,

i w tém nie odrodzili się weale od swych przodków, którzy igrzyska podnieśli do znaczenia religijnego i narodowej instytucyi. Wierni tradycjom klasycznej przeszłości, miłują się nade wszystko w tańcu i muzyce pod gołym niebem. Zamożniejsi dla używania téj uciechy piyną zwykle pysznie przystrojonemi kaikami, z towarzyszeniem muzyki, do jednego z cudnych miejsc w pobliżu Stambułu; prosta klasa z grajkami obchodzi do późna w noc zamieszkałe przez się dzielnice, od gospody do gospody, wśród piasów, śpiewów i okrzyków. Co jest wesołości i życia w Stambule, to winien prawie wyłącznie Grekom, bez których byłby, po za swym handlowym ruchem, wielce nudnym i obumarłym miastem.

Bulgarów znajduje się w Stambule równa prawie co i Greków liczba, a jednak nieznac ich weale. Turcyści uważają ich za Greków, tak jak niegdyś ludność chrześcijańską całej europejskiej Turcyyi za Greków uważać byli zwykli. Nie posiadając greckiej przebiegłości, ruchliwości i śmiałości, Bulgarzy mniej zajmują się handlem, a więcej ciężkim na najem zarobkiem i niektórymi prostszymi rzemiosłami, jak na przykład szewstwem i krawiectwem dla uboższego ludu. Ubrani na sposób grecki, w interesach posługują się najczęściej greckim lub tureckim językiem i w ogólności jak najmniej występują z narodową indywidualnością swoją. W wyższej sferze towarzyskiej reprezentowani są niezmiernie szczupło i lichy. Reprezentacya ta ogranicza się na kilku zamożniejszych, ale na pół zgromadzonych kupcach i na bardzo ograniczonej liczbie wyższej cokolwiek wykształconej młodzieży, pozaczepianej przy różnych biurach i przedsięwzięciach, lub na zaczepienie się czatującej. W kółku tém od niejakiego czasu objawiają się pewne dobre chęci na rzecz oświaty i moralnego przebudzenia swojego plemienia, ale tak słabe, niezdeterminowane i leniwe, że więcej z nich sławy niż pożytku. Zdobyli się prawda na bardzo niewielki księgozbiorek, w którym notabene zbywa na najpotrzebniejszych dla Bulgara dziełach, zdobywają się od czasu do czasu na wydanie jakiejś książki lub próby czasopisma, upadającego wnet po urodzeniu, ale otóż podobno i wszystkie działa ich owoce. Do obszerniejszego i użyteczniejszego działania zbywa na stosunkach i wpływie, na środkach, a co ważniejsza i na szczerym zapale, na zdolnościach, na pojęciu czego i jak chcieć. Do tych wszystkich braków dołącza się jedna jeszcze niemająca zawada: bojaźń niezmierną narażenia się na nieukontentowanie Greków i Turków. Jednym słowem, próbka narodowości bulgarskiej, znajdująca się w Stambule, pozwala trafnie odgadnąć jaką się okaże w własnych swych siedzibach: zafukaną, niepojmującą siebie, trwożną, gnuśną i nieoświeconą, przy bardzo wielkiej bierniej poczciwości.

Chrześcianie z wiary, Azyaci z pochodzenia, Ormianie stanowią w Stambule niejako łączne ogniwo pomiędzy chrześcijańskim światem a Muzułmanami, z którymi obyczaj o tyle ich zbliża, o ile wiara rozdziela. Oddani przemysłowi i handlowi, eichemu i niezmiernie odosobnionemu familijnemu życiu, a wreszcie gorliwym praktykom swych wyznań (są bowiem dwójki: zjednoczonego i niezjednoczonego obrządku), bardzo mało dają oni do spostrzeżeń i mówienia o sobie przedmiot. Ciesząc się większą niż ktokolwiek z chrześcijan łaską i zaufaniem Turków, od wieków w bardzo blizkich z nimi i z Wysoką-Portą zostają stosunkach, do różnych przez nią posług używani. Osobliwie prowadzenie mennicy, budowanie rządowych gmachów i prowadzenie pieneznych tak rządowych jako i wysokich dygnitarzy interesów jest niejako dziedzielnym między Ormianami przywilejem. To ich narażało do niedawna jeszcze na ciężką, bo często życiem opłacaną odpowiedzialność, ale wniosło w rady ich zamożność, którą w ogóle dotąd się cieszą. Uchodzą za bardzo poczciwych, rzetelnych, dobroczynnych i pobożnych ludzi, a między sobą, o ile ich religijne nie rozdzielają wasni, żyją w najprzykładniejszej zgodzie i miłości. Na ulicach poznać ich można po długim, prawdziwie azyatyckim stroju i wysokich baranich kołpakach. Kobiety ich na mieście okrywają się, tak samo jak Turczynki, w szkaradne, nieforemne, wszelki ślad kibici odbierające feredże i twarze pokrywają zasłoną. Rozpoznać je można jedynie po czerwonych papuciach na nogach, które są Ormian wyjątkowym przywilejem, tak jak zółte Turków i Turczynek. Ormianie zjednoczeni posiadają liczne i zamożne szkoły w Stambule, na wyższą zaś edukacyą posyłają dzieci do Paryża, gdzie posiadają osobny na cel ten instytut.

Najważniejszym przedmiotem zajęcia w stolicy tureckiego państwa są Turcy, panowie kraju i od których przyszłe jego powinnnyby zależeć losy. O nich więc nieco szerzej i bliżej niż o innych narodowościach pomówić mi wypadnie.

Przyglądając się Turkom po ulicach Stambułu, na pierwsze spojrzenie rozróżnia się dwa ich rodzaje: Turków zreformowanych i niezreformowanych. Pierwsi, obok czerwonego fezu, ubrani są całkiem europejskim krojem, w lakierowane buciki, długie spodnie i ciemnokolorowe, o stojących kołnierzach czamarki. Drugi zachowali dawny, malowniczy strój turecki. Około fezu obwiniony turban różnobarwny; na nodze, bosój lub w grubiej wełnianej, kolorowym deseniem ozdobionej skarpetce, luźno wdziane, szerokie i płytkie trzewiki, szarawary od pasa do kolan jak dwa worki wiszące, a od kolan do kostki na haftki lub guziczki opletę; na plecach para, jeden na drugim wdziawanych, spencerów, z przodu niedopiętych i zostawiających gołą część piersi wraz z szyją; w okolo pasa kilkakrotnie obwinięty szal, z za którego sterczy kindżał i dwa długie pistolety. Pas ten zastępuje razem miejsce kieszeni. W nim powtykane mieszczą się: zegarek, kieska z pieniędzmi, kapiuch z tytuniem, krzesiwko, składany nożyk i tym podobne drobne utensylia. Jeżeli Turek jest jakimś pisarzem, przy kindżał widać zatknięty na pół łokcia długi, mosiężny piórnik, z oprawionym w końcu kałamarzem, do małej buławy podobny i którym w istocie możnaby rozbić człowieka głowę. Na cały strój w zimno, lub dla powagi, wkłada się rodzaj szerokiego i długiego płaszcza, *benisz*, lub podobnego kształtu lekkiego jakiegoś futra, *dziube* (z kąd nasze: szuba) zwanego.

Po dwu tych gatunkach strojów rozpoznać się daje niejako urzędowy świat turecki od prywatnego. Wszystko co żyje z własnego majątku, pracy lub przemysłu, trzyma się starej mody; wszelkiego zaś rodzaju urzędniczy, służba dworska i dworacy wyższych urzędników, w owych zreformowanych chodzą, jak umiejają, szatach. Wiedząc o tym, uderza uwagę nieproporcjonalnie wielka tych zreformowanych do ogółu liczba. Istotnie też biura tureckie przepelnione są mnóstwem niepotrzebnym urzędujących, które ani do szybszego, ani do doskonałego interesów zgola nie przyczynia się biegu; a przy bokach dygnitarzy wiszą prawdziwe chmary nieużytecznego dworactwa. U najznakomitszych i najmniejszych ilość jego do trzystu i czterystu dochodzi osób. Podobnie jak u nas w Polsce pod koniec jeszcze zeszłego wieku, gawiedz ta nietylko dla rzeczywistej potrzeby i służby, jak raczej dla ostentacji trzyma się i klienteli. Po największej części stosunek dworzanina z panem, u którego raz przyjął służbę, utrwała się na całe życie. Pan udziela służbie wszelkiego rodzaju protekcji i często, osobliwie gdy otrzyma wielkorządztwo jakie na prowincji, z czyściciela kiedyś swoich butów, kieruje go na urzędnika; służa znowu, raz zaprotegowany, zostaje zawsze w pewnej od swego protektora zależności, służy jego interesom, ślepo nieraz spełnia jego wole, i choćby do bardzo wysokiego udało mu się dojść stanowiska, zostaje zawsze *jego* (jak tutaj mówią) *człowiekiem*.

Tymczasem, z powodu mnogości sług, każda taka służba uważać się może za doskonale uorganizowaną szkołę lenistwa. Niby to każdy ma w niej naznaczony obowiązek, którego pilnować; ale jakż jest ten podział pracy?... Oto naprzykład u Reszyda - paszy samych *czibukczich*, czyli chłopców od nakładania, zapalania i czyszczenia fajek, było do sześćdziesięciu, a do dwudziestu *kafedżich*, czyli gotujących wieczne, na wiecznie tlejącym żarze kawę. Innych szczególnych obowiązków już nie pomnę; ale podobnie ważnych jak powyższe jest bardzo wiele. Za żadne zaś pieniądze jeden nie zrobi posługi należącej do drugiego; i tak *kafedzi* przez nałożenie panu fajki, jak *czibukcz* przez jedno ugotowanie kawy, poczytywały się na całe życie zhańbionym. Za to, kiedy pan gdzie wyjeżdża z wizytą, na której trzeba się świetnie pokazać, gromada tego talająstwa otacza go konno i pieszo. Ten niesie cybuch jego, drugi kapiuch, trzeci parasol, który w razie dżochu rozwija się nad jadącym konno dygnitarzem; inny wreszcie, kłusując piechotą porównie z koniem, trzyma (po co? nie wiem) rękę opartą na jego kłębie; inni znów, bez szczególnego przeznaczenia, kłusują ot tak sobie dla parady. Bez jednego przynajmniej takiego pieszo lecącego adjutanta nie zdarzyło mi się widzieć żadnego nieco dystyngowanego Turka. Regularnej płacy służba ta pobiera bardzo mało, służąc po największej części niedługo za chleb, odzienie i łaskę pańską, ale otrzymuje tak od swego pana, jak i od osób z którymi tenże zostaje w stosunkach, przy każdej sposobności podarki, czyli *bakszysze*. Na interesantów pragnących mieć do niego przystęp, nakładają formalny podatek, osobno zaś opłacać się musi, kto chce ażeby panu przypominanym i polecanym został.

Oprócz tych oficjalnych niejako szkół lenistwa, na większą jeszcze skalę rozwinięte są religijne tego rodzaju zakłady. Pomiędzy Słowianami tureckimi kra-

ży dość zabawne mniemanie, że sułtan w Stambule utrzymuje wielki szpital dla leniwców, czyli z turecka nazywając *demblów*, tak jak w innych krajach utrzymują się ludzie dotknięci kalectwem, niezdolnemi do pracy ich czyniąc. Ale ażeby zostać do tego zakładu przyjętym, potrzeba przejść próbę, że się już jest kompletnym leniuchem. Opowiadają na przykład, że raz trzech aspirantów na sułtańskich *demblów* zostało umieszczonych w izbie, gdzie dla nich leżały trzy rogoże, jakie zwykle do pokrywania posadzki tu służą. Zaledwie się na nich wszyscy trzej rozciągnęli, w izbie dał się czuć dym tlejącej rogoży. Jeden zerwał się na nogi, wołając: „Hej! hej! bracia! a szukajcie no! gdzie się rogoża pali!“ Drugi podniósł się tylko na łokciu, obejrzał swoje podłanie, i odpowiedzawszy flegmatycznie: „To nie moja“ legł napowrót. Trzeci, ten właśnie którego rogoża tlała, ani się nawet obejrzał, ale dopiero jak zarzewie zaczęło mu dogrzewać w nogi, wstał, przeszedł w drugi kąt i na gotęj położył się ziemi. Ten jeden tylko został uznany skończonym leniwcem, *sultańskim demblem*; dwóch pierwszych ze wstydem odprawiono.

Takich zakładów, jak powyższa anegdota twierdzi, po prawdzie w Stambule niema; ale przy meczetach są tak zwane *imarety*, dzięki którym, lekko licząc, jedna trzecia część ludności muzułmańskiej stolicy w najzupelniejszym vegetuje próżniactwie. *Imarety* te świadczą bardzo zaszczytnie o religijności i moralności Turków, którzy w dobrze czynieniu widzą najpiękniejszy sposób służenia Bogu, są to bowiem fundacje, zapewniające potrzebnym dzienną strawę, a często przytułek i jałmużnę. Ale otoż i dobrego może być za wiele. Fundacje te stały się tak licznymi i tak znakomite posiadają fundusze, że zmieniły się w instytucję służącą do rozpróżniania ogromnej masy mieszkańców; gdyż ponieważ korzystanie z nich nikogo nie hańbi, komu się tylko robić zbyt nie chce, ucieka się do tego utrzymania sposobu. Ci to religijni *demble* są najzawziętymi wszelkich reform, postępu i tolerancji przeciwnikami, oni to dają hasło do wszelkich fanatycznych ruchów i rozruchów, raz, że instynktowo przeczuwają w postępie wszelkim wroga, który wygodnej ich egzystencji koniec położyć może, powtóre że swędząc się dni całe po meczetach i ich krągankach, zostają pod ciągłym wpływem *ulemów* i *softów*, to jest skonczonech i uczących się teologów muzułmańskich, którzy i z interesu i z zasad ślepo przy wszystkim dawnym pozostaćby chcieli.

Że poza tym bezustannym duchowieństwem swego wpływem stojący Turek, nie jest takim fanatykiem jak wierzyć się przyuczono, dowodem najlepszym, oprócz mnóstwa pojedynczych faktów, jest istnienie niektórych korporacji, w których, obok przeważnej liczby muzułmanów, bierze udział wielu chrześcian, żyjąc z sobą w świętej sprawiedliwości i zgodzie. Takimi są mianowicie korporacje *kaidżich*, czyli przewoźników łódkami, i *hamatów*, czyli tragarzy. Tak jedni jak i drudzy uorganizowani są na zasadach najczystszej wspólności. Każdy pracuje wedle sił, składając do wspólnej kasy zarobek, który następnie równo pomiędzy wszystkich się dzieli. Jedni i drudzy mają powybiéranych i na wojskowy sposób pomianowanych naczelników: *on-baszich*, czyli dziesiętników, *juz-baszich*, setników, wreszcie najwyższych całej korporacji zwierzchników, *baszi* zwanych. Prości ci i pracowici ludzie zalecają się nietylko względem siebie nawzajem, ale i względem wszystkich, bez różnicy wyznań, zachowaną święcie uczciwością. Osobliwie *hamaty* mają pod tym względem ustaloną reputację. Oni także są w istocie najpracowitszymi w całym Stambule ludźmi. Aż litosć bierze patrzeć, jakie ogromne ciężary stary nieraz człowiek dźwiga po stromych i przepaścistych uliczkach Gałaty. A jednak nie było przykadu, ażeby *hamat* przywłaszczył sobie jakakolwiek z powierzonych sobie rzeczy. Jeżeli zdołasz mu tylko wskazać dokładnie miejsce, możesz mu śmiało samemu oddać skrzynię z klejnotami, a doniesie ci ją niewątpliwie. Uderzając do dowód, jak praca i duch zjednoczenia, jak poddanie się dobrowolne prawom, uszlachetniają człowieka; z drugiej strony dowód to także, że Turek, gdy się nie rozleniwi, tak dobrze pracować umie, jak najpracowitszy chłop słowiański.

Już to w ogólności Turcy, jako ludzie, bardzo wiele dobrych posiadają przymiotów. Wiadomo jest, że niema prawie u nich złodziei; znana jest także rzetelność ich kupiecka. Sama ich litosć dla tułaczycy psów, którym kupują chleb i mięso i stawiają budki po ulicach; dla ptactwa, któremu „dla miłości Boga“ rozsypują ziarno, świadczy wymownie o pięknym gruncie ich duszy. Patrząc na takie lepszej istoty ich objawy, żałować nieraz mi przyszło, po co oni wle-

zli do Europy, gdzie im dobrze życzyć nie możemy, czemu po największej części są tak niemrawi.

Ta nieszczęśliwa niemrawość, ta dziwna osowiałość i niedbalstwo, są w Turku najgorszą, najbardziej oburzającą wadą, bardziej nawet niż jego fanatyzm, niż nierozumna duma względem chrześcian, niż uciskanie podległej *rai*, niż rozwiąłość obyczajów... niż wszystko. Jestem najmocniej przekonany, że gdyby mosłominów wyleczyć z niej można, z łatwością poznaliby wszystkie inne swe błędy i z nich się otrzęśli zwycięzko, że staliby się najlepszym, najmoralniejszym narodem na ziemi, że dla sprawiedliwości bożej wyszliby sami z Europy do Azji, zostawując swobodę ludom, nad którymi dziś panują, lub takby się z nimi urządzili, że niktby skarżyć się nie miał powodu. Ale niestety! na tę radykalną wadę nie znajdzie się podobno środka, i dumne państwo Osmanów padnie ofiarą jej głównie i idących z niej błędów. A jednak przyznać trzeba, że niemrawość muzułmańska z bardzo pięknego bierze początek źródła. Jest to posunięte do najwyższego stopnia przejście się tą zasałą, którą znajdujemy wyrażoną w słowach modlitwy Pańskiej: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.“ Jest to uznanie życia za nic więcej, jak za pielgrzymkę, w której o dziś tylko kłopotać się godzi, zdając jutro na Boga. Przykład Turków uczy nas czem się staje człowiek, zaparłszy się ambicyi, chęci wszelkiego zbytku i troskliwości o jutro. Dla pojedynczych indywiduów może to być bardzo błogo, boć nareszcie każdy o tyle jest szczęśliwym, o ile zadawalnia swe życie; ale społeczeństwo złożone z tak usposobionych indywiduów, bezsilne rozpaść się musi.

Nieco wyżej wspomniałem był ulemów i softów. To mi przypomina, że należy powiedzieć słów kilka o edukacji prawdziwie tureckiej. O edukacji pozornej, to jest niby na europejski sposób flancowanej na stambulskim bruku, miałem już poprzednio okazję powiedzieć co warta. Myliłby się wszakże, kto by z jej niepomyślnego przyjmowania się sądzić chciał o niechęci i lekceważeniu dla nauk ze strony Turków. Owszem, jak u niemal wszystkich narodów wschodnich, uczeni i nauka są u nich w wielkiej czci i miłości, ale uczeni i nauka do ich wyobrażeń stosowna. Przy wszystkich prawie meczetach znajdują się mniejsze i większe szkoły, fundowane bądź to przez sułtanów, bądź jako poboczne dzieła przez różnych dobroczyńców. Najliczniejsze są szkolki elementarne, tak zwane *mektebi*, w których dzieci od lat mniej więcej dziewięciu do trzynastu i czternastu uczą się czytać, liczyć, zasad religii, i t. p. W szkolkach tych idzie dość widzieć podobnie do naszych po staroświecku urządzonych żydowskich *helferni*, gdyż ile razy przechodziłem koło której, dochodził mnie wrzask powtarzających chórem lekcye dzieciaków. Ale sposób w jaki Turcy chłopców swoich do szkoły wprowadzają, czyni im zaszczyt, zwłaszcza jeśli sobie wspomnimy na owe u nas jezuickie czasy, kiedy to ojciec, oddając syna w ręce tak zwanego dyrektora, wręczał temuż bat, jako godło władzy, i prosił żeby skóry ucznia nie żałował, bo mu za to placą. Śliczna zachęta do nauk!... U Turków przeciwnie dzień wejścia chłopca do szkoły jest dlań dniem chluby i radości. Ubrany w najpiękniejsze suknie, jedzie prowadzony przez ojca na wystrojonym koniu przez ulicę do szkoły, otoczony tłumem swych przyszłych kolegów, którzy częstowani cukrami i ciasteczkami, przyjmują go radośnie do swojego grona. Taki sposób wejścia do szkół, jakże dobroczynnie usposabiać musi do nauk! jakże wart naśladowania, tam gdzie do niej potrzeba zachęty!

Wyższe nieco szkoły, niby naszym wydziałowym odpowiednie, nazywają się *mektebi-ruszdzie*; najwyższe, niby nasze gimnazya, *medreze*. *Medrezów* takich jest dwa, przy meczetach sułtanów Selima i Achmeta. Główne miejsce zajmuje w nich nauka koranu, jako religijnej razem i prawodawczej księgi, jego komentarzy i dopełnień. Z języków uczą arabskiego i perskiego; z innych nauk historji, tak tureckiej jak i powszechniej, geografii i różnych gałęzi matematycznych umiejętności. Ważną rolę gra także nauka pisanja, która w Turcyi wcale nie jest tak łatwą rzeczą. Biedni ci ludzie dręczą się prawdziwie wynalezionymi Bóg wie po co trudnościami w tym tak cudownie u narodów cywilizowanych uproszczonym kunszcie. Mają aż siedm, wyraźnie *siedm*, różnych sposobów pisanja! Inny jest charakter od pisanja listów, inny od utrzymywania regestrów, inny od tytułów, inny od książek prozą, inny znów od poezji, inny od rządowych aktów, a z tych wszystkich razem pomieszanym jeszcze jeden, już nie wiem do czego szczególnie służący. Do tego proszę sobie pomyśleć, że pismo tureckie nie zna wielkich liter, ani piśmiennych znaków, ale że za to na każdą literę są używane aż

cztery rozmaite znaki. Inaczej się ona pisze z początku, a inaczej w środku, inaczej na końcu, inaczej kiedy stoi sama jedna. Przy znanym do tego, z natury nieczytelnym, charakterze tureckiego alfabetu, łączeniu rozmaitych liter i różnych innych przez zwyczaj wprowadzonych trudnościach, łatwo zrozumieć, że kto wszystkie te pisma posiadał, zasługuje na szacunek u swoich ziomków, ozdobiony poważnym tytułem effendego. Widziałem jednak patentowanych effendich, z których jeden nie umiał przeczytać co napisał drugi.

Edukacja w obu rodzajach wyższych szkół, które niejako ciąg jeden stanowią, trwa około dziewięciu lat. Po skończeniu medrezy, zostaje się ulema, to jest członkiem uczonemu muzułmańskiego ciała, z którego mianują się tak duchowni, jakoteż sądowi urzędnicy; choć raz wstąpiwszy w jeden z tych dwóch kierunków, już potem w drugi przechodzić nie wolno. Uczniowie niższych szkół nazywają się *ciudziukami*, to jest po prostu chłopakami, w medrezach zaś *soffami*. Mają oni nietylko darmo edukację i książki, ale nadto przytułek i utrzymanie w rodzaju burs przy meczetach, *tetimne* zwanych. Bursy te jednak są w najczystszy stylu *à la Turka*. Wzdłuż długiego kruzganku ciągną się rzędem szczupłe i przerażająco brudne celki, w których, prócz rogózki na ziemi, nic zgola nie masz. W nich to, wśród robactwa i śmiecia, spędzają leniwo lata przyszli narodu ludzkiego nauczyciele i sędziowie. Liczba tego rodzaju demblów wynosi kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy. Przy wpływie jaki wywierają na imaretowych najprzód leniwców, a następnie i na lud cały, łatwo pojąć jak ta korporacja stawać się może groźną dla spokojności stolicy, kiedy ją obawa o własny interes lub fanatyzm zbudzi chwilowo z zaspianego i odrętwiałego gniazda.

O domowym życiu Turków panują u nas w ogólności dość mylne wyobrażenia. Najprzód zwykliśmy sobie wyobrazić, że w domach ich panuje wielka wystawa, bogactwo i wspaniałość; powtóre, że każdy ma w haremie jakąś okrągłą liczbę żon i innych kobiet. Otóż co do wystawności, ta, oprócz pałaców sultanskich, znajduje się tylko w domach bardzo wielkich dygnitarzy państwa i bogaczy. Tam istotnie widzieć można owe marmury, wodotryski, złocenia, brązy, drogie wazy, obicia, dywany, jakie nam uludne dekoracje teatralne niekiedy przedstawiają. Ale w ogólności domy zamożnych, nawet bardzo zamożnych Turków są tak skromne, że na nas ubóstwa czynią wrażenie.

Zwykle dom turecki składa się z samego drzewa i lepionej gliny. Porządny ceglany mur, jeśli w nim co jest, to chyba w ognisku i kominie. Dachy za to najczęściej wielką hollenderską dachówką są kryte. Jeśli w domu niema sklepów, to dół jest całkiem od ulicy bez drzwi i okien. Dopiero wyskakujące nad ulicę naksztalt kruzganków piętra, których jedno do dwóch bywa, mają po części oszklone, po części drobną drewnianą kratką zamknięte okna. Przez furtkę w murze wchodzi się na dziedziniec, do którego dom stoi frontem. Na dole mieszczą się pospolicie stajnie, składy, mieszkania sług i tym podobne gospodarskie lokale; właściciel z rodziną mieszka na piętrze, na które prowadzą zewnątrz domu, dachem tylko wystającym przykryte, bardzo lekkie i na cienkich słupkach wsparte schody. Długi ganek idzie wzdłuż całego piętra, a z niego osobne do różnych części mieszkania wejścia. Gospodarz przyjmuje gości w tak zwanym *salemiku*, to jest dużym pokoju, w miarę zamożności rogożami lub dywanami zasłanym, w okół którego idą szerokie i niskie sofy. Ściany jego u zamkniętych bywają rzeźbą i wzorzystymi ozdobnymi malowaniami, ale najczęściej prosto tylko bielone, albo jaką jednostajną powleczone farbą. Ztąd jakieś nieznaczące drzewiczki dają wejście na wązkie korytary, prowadzący do haremu.

Harem, ów tajemny przybytek muzułmanina, gdzie prócz jednego gospodarza, żadnemu nogi nie wolno postawić mężczyźnie, jest to jedna lub dwie większych i kilka pomniejszych pokojów, w których zamieszkuje żeńska jego familia. Podobnie jak w *salemiku*, zupełny brak sprzętów nadaje mu jakiś pusty pozór, chociaż zresztą widać staranie o przyzdobienie go jaknajlepiej jaknajokazalej. Na kominku i pułkach w ścianę wpuszczanych szafek stoją piękne *nargile*, wazon z kwiatami, porcelanowe, kryształowe, srebrne i pozłociste flaszki i naczynia. Ściany zwykle ozdobił malowane; około szaf, drzwi i okien wcale wdzięczne, choć najczęściej z prostego białego drzewa rzeźby. Firanki i portiere bogato frandzlami i kutasami zdobne, również jak obicia sof i poduszek. Tu i owdzie wisi kilka różnej wielkości, ale nie bardzo wielkich zwierciadełek, a pomiędzy niemi jedna i druga *tambura*, to jest płaska z metalowymi strunami

gitarą, wykładana słoniową kością, perłową macią albo srebrnymi i złotymi deseniami. Zakratowane od ulicy ową drobną drewnianą kratką okna, przypominają że to mieszkanie istot jak ptaszki po klatce trzymanych. Łóżek nie widać, bo ich tu nie używają. Sypia się na ziemi, na kilku kładzionych jedna na drugiej grubo watowanych kołdrach, które w zimie i do nakrycia także służą. Na dzień wszystko to się zwija i wraz z poduszkami od spania zamyka w przeznaczonych na to szafach.

Co do kobiet tureckich, oto niektóre o nich szczegóły.

Prawda jest że Turkom religia pozwala mieć więcej jak jedną żonę (wiele nie wiem dokładnie, ale podobno cztery); obok tych zaś trzymać w domu ile mu się podoba kobiet, do których mu te same co do żon służą prawa. Z przywileju jednakże wielożeństwa, prócz bardzo możnych, rzadko kto korzysta w Stambule i niezmiernie przeważna liczba mężów ma po jednej tylko żonie. Co do korzystania z nadanego przez koran do innych w domu kobiet prawa, to zależy wiele od indywidualności człowieka i stosunków jego domowych. Zapewne w ogóle Turcy nie są surowszych od koranu zasad w tym względzie; jednakże jeśli mąż kocha żonę lub jej się boi, jest jej tak dobrze wiernym, jak i w całym chrześcijańskim świecie. Co zaś do bania się żony, to pomimo że koran czyni męża absolutnym jej panem i jak świętość czcić go nakazuje, w praktyce jednak, jeżeli żona energiczna a mąż ciura, lub ze względu na majątkowe stosunki i konneksje rodzinne krótko wziąć jej nie może, boi się jej tak dobrze nad Bosforem, jak i nad Wisłą. Rzeczy zachodzą nawet tak daleko, że znajomy mój, turysta niemiecki, Hans Wachenhusen, wypatrywał kiedyś przez parkan, jak poważny stróż i głosić koranu, mufty czy miuezin jakiś, brat z pokorą od swej małżonki pantoflem po twarzy, aż się rozległo po ogródku.

Dałej prawo muzułmańskie zakazuje najsurowiej, żeby się kobieta pokazywać miała o b c e m u m ężczyźnie, póki nie będzie jej mężem. Naturalnie to musiało się niepokochać niejednemu, mającemu żenienia się ochotę; bo choć koran szczęściem bardzo ułatwił rozwody, brat żonę na cudzą wiarę, po to żeby ją za odkryciem zasłony opuszczać, zawsze pociągało za sobą koszt i zachody. Znalazł się więc na to sposób, bez wyraźnego świętej księdze ubliżenia. Konkurent przychodzi w naznaczonym czasie do domu pośredniczącej w zawarciu małżeństwa kobiety, która go wpuszcza do pustego pokoju. W drzwiach są ogromne szpary, a w pokoju za niemi rajona piękność, która, niby nic nie wiedząc, zdjęła z siebie zasłonę. Ba! jeżeli konkurent na męża bardzo pożądaną a zbyt wymagającą, piękna nieraz znajduje nawet ciekawym przymierzyć ubiory gospodyni i z całą swobodą niewidzianą przez nikogo robi tę tualetę...

Życie tureckiej kobiety niezawodnie jest dość nudne; ale jeszcze innem i życie Turków? Już to cała ta rasa stworzona jest widać tak, że nudy, któreby nas pozabijały, im przykrości nie robią; nie godzi się więc egzystencyi ich naszą mierzyć skalą. Tak dobrze jak Turek w *salemiku* przyjmuje swoich znajomych, tak Turczynka w haremie ugascza swe przyjaciółki. Ponieważ te, wszedłszy, zdejmują duszące zasłony, mąż idący do żony, gdy ujrzy stojące przy drzwiach pantofle, co znaczy że jest gość co je tam zostawił, wniósł nie śmieć. Opowiadają nawet że nieraz Turczynka własne wystawia pantofle, podczas gdy wcale nie przyjaciółki odbiera wizytę, a biedny mąż, spostrzegłszy je, powtarza sobie: *minsafir war* (jest gość) i odchodzi najspokojniej. Ta jednak anegdota zdaje mi się podejrzaną, gdyż mąż na prawo zażądał wniescia, dawszy czas zakrycia się przyjaciółce; wiadoma zaś rzecz, że nieupoważnionego gościa wolno mu zabić na miejscu. Tak dobrze znowu jak Turek chodzi za swemi interesami, tak i jejność chodzi za sprawunkami i po wizytach. Po ściśm obliczeniu, mąż nad żoną ma podobno jedną tylko przyjemność: że może iść do kawiarni i tam parę zabić godzin.

Małżeństwa tureckie bez wielkich zawierają się zachodów. Są to raczej kontrakty prawne, niż religijne zaślubiny. Główną rzeczą jest umowa przed każdym, którą mąż żonie, na przypadek rozwodu, zapewnia wypłacenie jakiejś stosownej do stanu obojga summy. Nikt w dniu ślubu nie łączy ich rąk, ani odbiera od nich przysięg; aż do wieczora zgola nawet nie widzą się z sobą. Iman tylko, zaszedłszy do *salemiku*, przyszłego ich mieszkania, odmawia modlitwę, w której jako małżonków oboje wymienia i błogosławi.

Rozwody równie łatwe jak małżeństwa. Mąż ma do rozwodu tyle prawnych powodów, że właściwie żadnego nie potrzebuje. Żona w takim razie, prócz zapewnionej summy rozwodowej, otrzymuje połowę

sprzętów i zachowuje wszystkie dary, jakie w ciągu pozycia otrzymała. Turczynka w jedynym tylko razie rozwodu żądać może; powód jednak jest tak drażliwym, że prawo uwolniło ją od wypowiedzania go słowami. Wszedłszy do kadego, zdejmując tylko trzewik z nogi, kładzie go na ziemi do góry podeszwą, i ta niema skarga wystarcza.

Zdaje mi się że to dość szczegółów z tureckiego rodzinnego życia. Zostaje mi coś powiedzieć jeszcze o życiu towarzyskiem i publicznym, innemi słowy o kawiarniach, które są wyłącznie życia tego rodzaju ogniskami.

Po śnie, kobietach i bakszyszach, Turcy są zagorzałymi amatorami kawy; i mają słusność, zwłaszcza że mogą pić najlepszą mokkę, a szatański wynalazek fałszowania jej cykoryą, dotąd nie zdołał się wedrzeć do ich kraju. Skutkiem tego w Stambule na tysiące znajduje się kawiarni. Niektóre z nich, jak na przykład położone po obu brzegach Bosforu, są obszerne i wspaniałe, białym wykładane marmurem, z wygodnymi wokoło sofami, z bijącą w pośrodku fontanną, najwonnijszymi otoczoną kwiaty. Do nich to głównie zachodzą Europejczycy, dla używania wschodnich przyjemności. Ale bez porównania większa liczba jest małych i brudnych. Okna w nich nawpół oszklone, nawpół zalepione napuszczanym tłustością papierem. Od drzwi do położonego naprzeciw nich komina, prowadzi wązkie po równej podłodze przejście, po obu zaś bokach są na łokieć wysokie wzniesienia, rogożami kryte. I w jednego i w drugiego rodzaju kawiarniach przez dzień cały można zastać zawsze gości, kurzących fajki i nargile, i z maleńkich filiżaneczek chlijących wrzącą kawę, którą kafedzi warzy w kominie.

W kawiarniach, podobnie jak wszędzie, urządzają się mięskie schadzki, załatwiają się interesa, komunikują nowiny, prowadzą się dyskusje, wyrabia się publiczna opinia. Tu w czasach jakiego publicznego wzburzenia różni mówcy, głównie softowie i ulemy, podnoszą podniecające głosy; tu się organizują i zbierają tworzące rozruchy bandy, i dlatego też rząd w podobnych czasach najpilniej na kawiarnie zwrócone ma oko.

W zwykłych, spokojnych czasach, pomimo wielkiego w niektórych napływu gości, bywa dość cicho. Turcy z natury mało są rozmowni. Najbardziej lubią w milczeniu wpatrywać się w piękny przed sobą widok, lub wreszcie w dym własnej fajki, marząc zapewne o rokosznym niebie Mahometa. O ile jednak nierozmowni są sami, o tyle passyami lubią słuchać opowiadań, i dlatego to do bardziej uczęszczanych kawiarni przychodzą wieczorami opowiadacze z rzmiosła. Opowiadacz taki, naśladowictwo istniejących u Arabów opowiadaczy, nazywa się *medak*. Bywa to zwykle niemłody już człowiek, często siwobrody starzec, obok pamięci i wymowy pewien wynalazczy talent posiadający. Powieści jego dwojakiego bywają rodzaju: jedne miłosne i fantastyczne, na podobieństwo Tysiąca-nocy, które tylko za poprzednikami swemi powtarza, lub sam z utartych sytuacji i żywiołów składa; drugie skandyliczno-satyryczne, bieżące niby opowiadające wypadki, a mieszczące w sobie, obok mnóstwa scen niemoralnych, nieraz ostrą krytykę postanowień i postępowania władzy. Wartość tych ostatnich powieści, które *medak* sam komponuje, polega głównie na sposobie opowiadania, w czem rozwija on cały zapas swych dramatycznych zdolności, naśladowując głos, gesta, powierzchowność i język wprowadzanych osób, jak na przykład: Francuza, Anglika, Niemca, Żyda i t. d. Niektóre dyalogi oddaje tak komicznie i wyraziście, że choć nie rozumiejąc po turecku, domyślić się ich treści i śmiać się musiałem.

Oprócz opowiadaczy, zachodzą także do kawiarni i śpiewacy. Mocno byłem ciekawy tej próbki, nie już naśladowanej z europejska, ale oryginalnej, tureckiej muzyki; z niemałą przecież uszu moich szkodą przekonałem się, że ci ludzie najmniejszego muzycznego nie mają pojęcia. Najprzód, przez jakąś dziwną finezją, śpiewają zawsze przez nos; powtóre drą się tak strasznie, że choćby w pieśni była jaka melodia, zginać musi. Do tego śpiewak, chwając jak wahadłem głową, bardzo śmieśniewnie mruży oczy, a zatknawszy sobie wielkimi palcami uszy, resztą palców przebieiera po głowie. To ostatnie jedno mądre z całego koncertu, bo sam siebie nie słyszy; ale czemuż u licha nie robią tak i słuchacze?...

Na tym muzycznym szczególe kończę wyciąg z moich stambulskich notatek. Byłby on bez porównania obfitszy i bardziej przedmiot niejedyn wyczerpujący, gdybym mógł być dłużej w mieście tém zabawić. Ale czas naglił, i pomimo jesienną porę niegościnnosć, trzeba było pożegnać dawną Konstantyną stolicę i powierzyć się zdradzieckim Czarnemu morza falom.

Koniec ustępu I.

KORRESPONDENCYA
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Wrocław, dnia 6 sierpnia 1861.

50-letnia jubileuszowa uroczystość wrocławskiego uniwersytetu.

Przejeżdżając przez Wrocław, trafiłem na uroczystość już od kilku tygodni we wszystkich gazetach zapowiadaną. Częścią wiedziona ciekawością, a w części uważając za stosowne dać o tej uroczystości ogólną wiadomość polskim czytelnikom, postanowiłem bliżej się jej przyjrzeć. Sądzę iż to nie będzie bez interesu dla rodaków, skoro się zważy, że wrocławski uniwersytet w zwyczajach swoich różni się nie tylko od innych europejskich, ale nawet od niemieckich uniwersytetów. Powtóre, iż nie może być dla nas rzeczą obojętną każdy ważniejszy wypadek na Śląsku, kiedy sobie przypomniemy, że w dawnej tej polskiej prowincji panowali książęta z linii Piastów; że sam Wrocław w początku był miastem polskim; że dopiero Kazimirz W., starający się o utrzymanie pokoju, chcąc wyjednać zrzeczenie się tytułu króla polskiego od Jana króla czeskiego, odstępuje mu Śląsk z temi ziemiami polskimi, które król czeski posiadał; że dalej Śląsk dzieli losy z Czechami aż do r. 1742, w którym Fryderyk II przyłączył go do Pruss. Najważniejszym zaś pono bodźcem do zwracania ciągłej uwagi na Śląsk, jest ta okoliczność, iż jeszcze do dziś dnia znajduje się w tej prowincyi milion mieszkańców mówiących doskonale po polsku. W samym nawet Wrocławiu, przeważnie już mieście germańskim, jeszcze połowa służących obojg płeć mówi także po polsku; ale dzieci ich, skoro jedno z małżonków jest pochodzenia niemieckiego, już po polsku mówić nie umieją. Zdarzały mi się tu jeszcze bolesniejsze wypadki: w domach wykształcających, przed laty może 25 — 30 szczeropolskich, noszących nazwy na *ski*, znalazłem rodziców mówiących po polsku, a córki i synów już zniemczających, ani słówka po polsku nierozumiejących i śpiewających na *kommerszach* hymny na cześć germańskiej ojczyzny. Czemu odwrotnie Niemcy przybywający do Polski tak prędko się nie polonizują? czemu kępy niemieckich kolonistów, rozsiadłych w warszawskiej i innych guberniach, tworzą czysto niemieckie osady? czemu dalej Niemcy posiadający wielkie kamienice w Warszawie, w trzecim nawet pokoleniu nie stali się Polakami i dzieci swe na edukacją wywożą do Wrocławia lub Hamburga, by je ochronić od zpolonizowania? Kto temu winien?—ja nie wiem. Gdybyśmy z nimi nie mówili po niemiecku, lecz po polsku, musieliby się nauczyć naszego języka.

Po tych uwagach przechodząc do samej uroczystości, powiem iż w ogóle była świetna, a zajmując sześć dni, stała się prawie niewyczerpaną w pomysłach. Początek odznaczył się koncertem dnia 4 sierpnia przez stowarzyszenie muzyczne młodzieży uniwersyteckiej wykonanym, ze 150 osób złożonym i kierowanym przez studenta filozofii Emila Bohna. Koncert ten odbył się w wielkiej sali w Weissza ogrodzie, w obec może dwóchtysięcy zaproszonych osób. 2 sierpnia o 11 godzinie rano, w mniejszej sali uniwersytetu, rektor prof. Braniss z senatem akademickim i profesorami czterech fakultetów, przybranymi w togi, przyjmował powinszowania od rozmaitych deputacji przybyłych z 23 uniwersytetów i różnych towarzystw, oraz władz najwyższych pruskich i miasta Wrocławia. O godzinie 7 wieczorem było zebranie w uniwersytecie, tylko z samych profesorów i doktorów złożone, a o 9 pochód z pochodniami (Fackelzug). Pochodni było ze 2000, niesli je po obu stronach ulicy pochodniarze, a środkiem rzędami po czterech szli studenci, *starsi panowie* czyli dawni studenci i osoby zaproszone. Pochód poprzedzała muzyka, chorągwie, a służbę pełnili studenci z wydobytemi pałaszami i w oryginalnych strojach, mających przypominać ubiory dawnych rycerzy niemieckich.

Studenci tutejsi dzieli się na wiele związków, różniących się kolorami i występujących mniej więcej w barwach swych prowincyj. Główny podział jest na *Burschenschaffterów* i *Landsmannschaffterów*. Pierwsi noszą trzy kolory: czarny, żółty i czerwony; jest to barwa Niemców właściwych, marzących o utworzeniu jednego wielkiego państwa niemieckiego; drudzy noszą barwę białą z błado-niebieską, jak Ślązacy, lub żółtą, jaką się znów Marchia odznacza. W czasie tej uroczystości studenci wystąpili w biretach (*chapeau d'honneur*) różnokolorowych, z trzema różnobarwnymi piórami na przodzie osadzonemi. Wielkość

każdego pióra jest najmniej półlokiowa. Dalej przywdziali surduty aksamitne, niektórzy spodnie fosiowe, buty z ogromnemi ponad kolana cholewami i ostrogami, wielkie rękawice białe, szarfy jedwabne na 7 cali szerokie, zawsze w dwóch barwach, jak n. p. białej z czerwona, białej z czarna, lub czerwonej z niebieską. Szarfy te od prawego ramienia spadały przy lewym boku, przy którym zawiesili wielkie kirasserskie pałasze, a nie rapiry. Pałasze te mają gardy całe metalowe, służące do wydobywania tonów przy śpiewach na *kommerszach*, czyli uroczystych biesiadach studenckich.

Dnia 3 sierpnia Wrocław przybrał majestatyczną postawę. Już od wczoraj ukazujące się flagi, kilkudziesięciolokciowej długości, poczęły powiewać ze wszystkich gmachów, ze starych wysokich kamienic, począwszy od dachu. Flagi te puszczano aż do pierwszego piętra, a liczba ich jeszcze i teraz powiewająca, jest trudną do zliczenia. Każdy prawie właściciel kamienicy wywiesił flagę w barwie odpowiadającej jego idei politycznej. Ulica Świdnicka lukami z liści dębowych zamieniona została w bramę, lub raczej korytarz tryumfalny; domy przybrały się nadto w festony, transparenta, dywany, a wszystko o barwie niemieckiej lub prowincjonalnej. Na ulicach tłum niezliczony, okna i dachy przepelnione ludźmi, bieg powozów ustaje i zaraz po nabożeństwie idzie od ratusza wrocławskiego *wielki pochód uroczysty* do auli akademickiej. Pochód ten istotnie był punktem kulminacyjnym obecnej uroczystości; w powadze, świetności, charakterze, w całym układzie i znaczeniu nic mu tu nie dorównało. W obec najmniej stu tysięcy ludzi, którzy zajęli place, na koniu jechał inspektor policji z obok jadącymi dwoma żandarmami, za temi grzmiąca muzyka, dwaj urzędnicy w togach i biretach noszący berla akademickie, potem trzy wielkie chorągwie, niesione przez studentów uroczystie przybranych, kilkudziesięciu studentów w takichże strojach z wydobytemi z pochw pałaszami. Bedele uniwersyteccy, w czerwonych togach i takichże biretach, poprzedzali idącego rektora w aksamitnym płaszczku wiśniowym, złotem sutu wyhaftowanym. Dalej postępowali ministrowie pruscy i dygnitarze, potem profesorowie uniwersytetu w togach i biretach właściwych barw fakultetowych, jak: teologowie w czarnych togach, medycy w czerwonych, prawnicy w fioletowych, a filozofowie w niebieskich; za temi tak zwani *starsi panowie* czyli *alten Burschenschafftery*, t. j. dawni uczniowie uniwersytetu. (Wrocławski uniwersytet od r. 1811 — 1861 wydał 44,062 uczniów; wszyscy tu być nie mogli, bo wielu już zmarło, ale zawsze liczba znakomita się ich zjechała). Dalej szli deputowani z obcych uniwersytetów, w togach i biretach rozmaitych kolorów i barw; po za temi duchowieństwo, magistrat Wrocławia, złożony z radców, odznaczających się złotemi łańcuchami zawieszonymi na szyi i na frakach, nakoniec reszta studentów, a każdy związek z oddzielną muzyką i chorągwią. Po tym istotnie majestatycznym pochodzie, osoby posiadające zaproszenie uniwersytetu weszły do auli, w której na chórze już zebrane białe odziane damy, wykonały *Händla setny psalm*, pod kierunkiem J. Schäffera; następnie rektor Dr. Braniss, otoczony senatem akademickim i profesorami, miał mowę w języku niemieckim, odpowiednią świętu obchodzonemu, po której znów odśpiewano *Halleluja* z Messyasa Händla.

Tegoż dnia o godzinie 3 po południu w Strzelnicy (*Schiesswerder*) uroczysty obiad urzędowy w ścieśnionem kole; wieczorem zaś o 6½ pochód samych studentów, z chorągwami i muzyką, ze Strzelnicy położonej za miastem, do sali Liebicha, gdzie o 8 wieczorem rozpoczął się *kommersz*. Jestto wspólna biesiada profesorów, *alten Burschenschaffterów* i studentów, niezmiernie charakterystyczna i nad podziw piękna. Proszę sobie wyobrazić studentów w opisanym wyżej stroju, co wcale dobrze wygląda, starych ludzi, byłych uczniów uniwersytetu, w akademickich czapczkach zwanych *Cereviskappe* (*cerevisia* oznacza w Wrocławiu piwo), przepasanych szerokiemi, sutemi szarfami, a wszystkich śpiewających pieśni, z całym zapamiętaniem rozognionej nietylko uczuciem, ale jeszcze winem. A wina tego tysiące butelek wypito! Siedzą oni przy długich stołach, a na każdym rogu mają po dwóch prezesów ze studentów, którzy przy powtarzanych zwrotkach dochodząc do połowy długości stołu, stają naprzeciw siebie i w lewą rękę trzymającym pułkarnem najprzód się trącają, a potem dobytymi pałaszami uderzają każdy w *gardę* v. koszyk przeciwnika, z kąd powstają harmonijne tony, przybierające niezmierną siłę, jeśli się zważy na liczbę brząkających pałaszów, czyli półmieczów. Na takim *kommerszu* odbywa się sławna ceremonia *Landesvater* zwana. Jest

to powtórzenie przysięgi na honor akademicki i zapewnienie, iż nic w życiu się takiego nie spełni, co by mieczowi rycerskiemu hańbę przynieść mogło. Na tę pamiątkę czapczki zwane *Cereviskappe* przebijają się mieczem, a dziury ztąd otrzymane obszywają się złotem i haftuje się w koło nich data *kommerszu*, na który czasem trzeba kilka lat czekać, bo to się tylko w pewnych uroczystościach odbywa.

Następnego dnia, t. j. 4 sierpnia, miało miejsce w auli ogłoszenie w języku łacińskim przyznanych honorowych stopni doktorskich we wszystkich fakultetach, ludziom różnych narodowości, którzy się częmiś odznaczyli. Mielśmy przyjemność słyszeć wygłoszone publicznie imię p. *Aleksandra Przeździeckiego*, któremu przyznano stopień doktora filozofii. Do tego trzeba jednomyślności zdań; na kandydatów byli także podani p. p. Szajnocha i W. Al. Maciejowski, lecz im stopni nie przyznano, bo jeden z profesorów, oddając zasługę ich pracom, odezwał się iż nie może zamilczeć, że pisma tych panów tchną niechęcią dla germańskiego plemienia.

Po południu jeden obiad w kole professorskim, a drugi w kole studentów i starszych panów, w którym wzięło udział ze 600 lub 700 osób.

Od tej chwili zaczęły się *bachanalia* w całym mieście na dobre; policja otrzymała rozkaz ustępowania wszystkim, to też cuda się tu wyprawiają. Studenci popici jeżdżą dorózkami lub omnibusami po ulicach, poprzebierani najkomiczniej; jeden n. p. w starym kapeluszu, drugi obsyty gazetami, trzeci okolony wieńcami z kwiatów, czwarty pije piwo z ogromnego rogu, a w każdym powozie musi być trójkolorowa chorągiew. Jeżdżą tam i napowrót, śpiewając i rzucając wieńcami i bukietami w okna, z których wyglądają niemieckie piękności. Tłumy uliczników oblegają taki pochód, krzyk, pisk przeraźliwy dzień i noc, że ani wyspać się nie można. Widocznie szal ich ogarnął; siedzi ich czasami po dwóch na jednym koniu plecami do siebie, lub powóz, miasto koni, ciągną bluzery. Za studentami w ślad postępują i niższe klasy, pijąc i przedrzeźniając studentów.

Taki stan trwał do dnia 2 sierpnia. Rozdano w dniu tym kilka tysięcy biletów do *Schiesswerder*. Jestto za miastem piękny ogród, z jeszcze piękniejszą kolosalnych wymiarów salą. Miejsce to zowie się *Strzelnicą*, chociaż tu strzelnicy niema. Miasto Wrocław od siebie dało tu przyjęcie. Łatwo się domyslić, że wytoczono kilkadziesiąt beczek piwa i przygotowano śledzie, warmwirstki, szynki, bułki z masłem, lub suche z serem, a wszystko w kolosalnych ilościach. Te kilka tysięcy wybranego towarzystwa męskiego, popijając bawara, zajada smaczne owe przekąski, przy dźwięku kilku pułkowych muzyk; potem palą iluminacje, fajerwerki, zaczynają się śpiewy na cześć niemieckiej ojczyzny, i na tém koniec.

Odbył się tu jeszcze drugi ogólny *kommersz*, nie o winie już, ale o piwie, na który przybywają także damy, lecz zajmują galeryowe łóże, nie zenując się bynajmniej tém, że rozochoceni mężczyźni zdejmują surduty, śpiewają i dźwięczą mieczami.

Należy jeszcze wspomnieć o literatach piszących po polsku, w Wrocławiu osiadłych. Do znakomitszych należą: Dr. *Cybulski*, profesor narzeczy słowiańskich przy uniwersytecie; lektor polskiej literatury *Fritz*; lektor honorowej literatury Dr. prawa *Krainiski*; Józef *Kazimirz Plebański*, profesor języka łacińskiego i historii w gimnazjum katolickim wrocławskim. Nareszcie w Wrocławiu mieszka więcej u nas znany p. *August Mosbach*.

W uniwersytecie wrocławskim jest wszystkich teraz studentów 796, wedle *Personal-Bestand der königlichen Universität zu Breslau, Sommer-Semester 1861*; z tych 30 Polaków, którzy udziału w obecnej uroczystości nie przyjęli, uważając to za niestosowne, a którym należy się publiczna podzięką za to, iż ze swoich szczupłych funduszów prenumerują kilkanaście polskich czasopisów. Czasopisy te składają w cukierni przy *Klosterstrasse*, dla wygody przejeżdżających rodaków.

Z młodzieży polskiej poznałem Dra medycyny, nowo doktoryzowanego p. Ludwika Bukowieckiego, Wł. Lebińskiego stud. filozofii i Pawlickiego studiującego filologią.

Professorów, lektorów i w ogóle wszystkich wykładających jest 140 osób.

Z uczonych nas obchodzących przybyli do Wrocławia z Pragi czeskiej J. E. Purkynie ojciec, i Emmanuel Purkynie syn, profesor w szkole leśnej w Czechach, prof. kliniki terapeutycznej *Halla*, także z Pragi, i z Warszawy w przejeździe Dr. L. A. Neugebauer.

J. F. N.